

Protokół

Kraków, dnia 18 czerwca 1945 r. Ja, prokurator dr. Wincenty Jarosiński, członek Głównej Komisji dla Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, przy współudziale aplikanta sądowego mgr. Juliana Chachlowskiego, przesłuchanym na zasadzie art. 20 przepisów wprowadzających Kodeks Postępowania Karnego, w związku z art. 107 i 115 Kodeksu Postępowania Karnego, w charakterze świadka b. więźnia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, dra Oskara Tadeusza Stuhra nr. 947. - - - - -

Świadek po uprzedzeniu go o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania, zeznał co następuje: - - - - -

Nazywam się Oskar Tadeusz Stuhr, ur. 8.10.

1891 w Krakowie, jako syn Leopolda i Anny

Thill, adwokat, rzymsko-kat., narodowości i

przynależności polskiej, zamieszkały w Kra-

kwowie ul. Selna 1. - - - - -

Jeśli mam złożyć zeznanie w sprawie zbrodni niemiecko-hitlerowskich w Polsce, to muszę je zacząć mottem Z. Krasińskiego: - - - - -

"Arwią i Ziemi pisane są dzieje ludzkości"

Z chęcią zmontowania władz administracyjnych niemieckich w późniejszym generalnym gubernatorstwie, z końcem października 1939 r., a w szczególności usadowienia się w Krakowie krwiożerczej policji niemieckiej, popularnie zwaną gestapo/Geheime Staatspolizei/, rozpoczęła się na szeroką skalę zakrojona działalność tej władzy, zmierzająca do systematycznego wytepienia Polaków, a przede wszystkim polskiej inteligencji, oraz wszystkich organizacji społecznych, mogących mieć jakikolwiek wpływ na szerokie koła ludności. Zaczęło się od "wykładu" na Uniwersytecie Jagiellońskim w dniu 6 listopada 1939 r. W perfidny sposób ściągnięto pod naukowym tytułem, poważny zastęp słuchaczy należących do świata naukowego i kulturalnego Krakowa. Cały szereg wybitnych powag świata naukowego z prezesem Akademii Umiejętności dr. Stanisławem Kutrzebą na czele, ludzi uczonych i kierowników naszego życia kulturalnego Krakowa, oraz ludzi

*Gorski*

zajmujących czołowe społeczne stanowisko, wpadło w sidła i szpony żaradzieckiego "gestapo" i musiało poprzez więzienie wojskowe przy ul. Montelupich dotrzeć do istniejących już od dawna w Niemczech obozów koncentracyjnych w Oranienburgu - Sachsenhausen - Dachau - Gussen Mauthausen. Przechodząc całą gehennę udręceń wielu z nich zginęło śmiercią męczeńską za to tylko, że nie przeczuwając podłego i chytrego podstępów zbirów hitlerowskich udało się na Uniwersytet, celem wysłuchania wykładu tych, którzy rzekomo mieli nieść Polakom oświatę i kulturę zachodnią i mieli nam podać swój punkt widzenia na rozwój naszej dalszej kultury. Niemcy rozpoczęli od fałszu i obłudy. Z pobudek niskich i krwiożerczych przystąpili do zrealizowania kardynalnego hasła rzuconego przez Hitlera - konsekwentnego wygobienia żywiołu polskiego i wymazania polskiej ziemi z mapy Europy. Wykład był nie jako tylko prostą pułapką, był jakby zasłoną dymną, mającą na celu przykrycie objawu bezwzględności i brutalności nawet najwyższych czynników niemieckich, które miały rozpocząć swą działalność "w zawsze niemieckim mieście Krakowie", ze samym generalnym gubernatorem drem Hansem Frankiem na czele, twórcą nowego prawa, a raczej bezprawia w Europie, który z dniem 26 października 1939 r. objął ster Rządów na ziemi polskiej. Za tę krwawą i nad wyraz bolesną dla całego świata kulturalnego "inaugurację" poszły dalsze aresztowania i prześladowania, wszystkich tych, którzy zajmowali wybitniejszą pozycję społeczną w Krakowie i kierowali ruchem kulturalnym, a nawet ruchem zdala stojącym od życia politycznego. Zaczęto masowo aresztować nauczycieli i profesorów gimnazjalnych, wychowawców dzieci, oraz księży. Jednym z pierwszych w tym czasie t.j. 6 listopada 1939 został po raz wtóry zatrzymany, a następnie wywieziony do Niemiec wiceprezydent dr. Stanisław Klimecki. Po wypuszczeniu go z obozu w Oranienburgu został on po raz trzeci aresztowany w roku 1942 i zginął śmiercią męczeńską w połowie grudnia 1942 r. Celem tych aresztowań było smaltretowanie całego społeczeństwa, napędzenie strachu i bojaźni, a w dalszej

*Gołbicki,*

konsekwencji zdemoralizowanie go i skłonienie do donosicielstwa i zdrady narodu polskiego. Władze niemieckie rozciągnęły na szeroką skalę tak zwany "Schutzhaft" /areszt zabezpieczający/. Niemcy w gruncie rzeczy trwożliwi i bojaźliwi obawiali się powstania na zajętych ziemiach i dlatego na wstępie swej krwiożerczej działalności postanowili z miejsca sparaliżować i unieszkodliwić wszelką aktywną działalność ze strony Polaków. Usuwali więc jednostki, które mogły podczas okupacji podziemie kierować ruchem odwetowym, i zabezpieczali sobie przez usunięcie wpływowych i ruchliwych jednostek zaplecze - akcją wyniszczającą Polaków. - - - - -

W dniu 9 i 10 listopada 1939 r. nastąpiły w Krakowie spodziewane masowe aresztowania, w czasie których zostałem i ja uwięziony. W dniu 9 listopada 1939 r. około godziny 9-tej przyszło do mnie do Obwodowej Komendy Straży Obywatelskiej na Podgórzu /mieszczącej się w budynku Komisariatu 6-go obwodu/ dwóch oficerów "gestapo", w towarzystwie jednego cywila - jak się później dowiedziałem tłumacza i wezwali mnie do udania się do mojej kancelarii, znajdującej się w Podgórzu przy ul. Kalwaryjskiej 1.2. W kancelarii wezwali mnie przede wszystkim do wydania aktów Towarzystwa Gimnastycznego "Sokoł" Kraków II i Klubu sportowego "Korona", upewniwszy się przedtem, że byłem prezesem "Korony", a wiceprezesem "Sokoła". Na moją odpowiedź, że aktów, zresztą nie mających żadnego znaczenia politycznego, nie mam i te znajdują się u naszego sekretarza por. rezerwy Tadeusza Wołoszyna, zam. w Krakowie przy ul. Rękawka 4, ale przebywającego w tym czasie na wojnie, nie chcieli temu dać wiary i po oświadczeniu, że przystępują do czynności urzędowej zaczęli przerzucać wszystkie akta kancelaryjne, oraz wszystkie rzeczy w mieszkaniu prywatnym. Rewizja wypadła pomyślnie dla mnie, gdyż przeprowadzający ją gestapowcy nie znaleźli rewolweru schowanego w składanej sofie, znajdującej się w mojej sypialni, a jedynie zabrali jako "corpora delicti" guziki od fotelu, widocznie podejrzewając, że to oznaki jakiejś organizacji wojskowej, oraz spis wyborców do Rady Miejskiej, w czym

*gorbun*

znowu domyślali się zapewne spisu członków tej organizacji. Po dwóch godzinach przeszukiwania, zabrawszy guziki i spis wyborców, pozostawili wezwanie bym jawił się w biurach przy ul. Pomorskiej 1.2., w dniu 14 listopada 1939 r. o godz. 9-tej. Jednak już wcześniej spotkała mnie niemiła niespodzianka. W dniu 10 listopada 1939 r. udałem się jak zwykle na odprawę straży obywatelskiej głównej, do budynku Larischa, o godz. 12-tej w południe. Odprawę przeprowadzał w tym dniu krótko komendant główny, dr. Jan Kuhn, tak że mniej więcej o godz. 12.15 schodziłem na dół, w towarzystwie mego kolegi zawodowego i również komendanta jednego z obwodów krakowskich, adwokata dra. Rolanda Goryczki/przebywającego od końca kwietnia 1942 w obozach koncentracyjnych w Niemczech/. Mniej więcej na pół piętrze zauważyłem pędzącego po schodach do góry oficera "gestapo", tego samego, który dzień przedtem był u mnie na rewizji. Oficer ów zwrócił się do mnie z zapytaniem, czy odprawa już skończona. Otrzymawszy potakującą odpowiedź, widocznie mnie w tym momencie poznał, gdyż rzekł z uśmiechem "da sehen wir uns wieder" /a więc znowu się widzimy/ i zaprosił mnie do pięknego samochodu, stojącego przed bramą budynku Larischa. W tym miejscu zauważyłem maszę, że o mojej bytności w budynku Larischa dowiedział się ów oficer od mego brata w kancelarii adwokackiej koło godz. 12-tej w południe. Oficer ów usiadłszy przy kierownicy, ruszył w kierunku ulicy Grodzkiej. W czasie jazdy odwrócił się do mnie i rzekł: "ich brauche ihnen nicht aufklären, sie sind festgenommen" /nie potrzebuję wyjaśniać, jest pan aresztowany/. Oskupiałem i nie odezwałem się ani słowa. Kiedy samochód skręcił w kierunku ul. Poselskiej, a następnie w kierunku ul. Kanoniczej sądziłem, że zostaje odstawiony do więzienia kryminalnego, popularnie nazywanego "Michałem", przy ulicy Senackiej. Myliłem się jednak, gdyż pojechaliśmy dalej i wóz zatrzymał się na ul. Kanoniczej przed domem oznaczonym numerem 11. Oglądając się w tył zauważyłem drugi samochód, z którego wysiadło dwóch gestapowców. Gestapowcy ci weszli do bramy domu przy ul. Kanoniczej 11. Wówczas nie zdawałem sobie jeszcze

*J. Kuhn*

sprawy, w związku z czym nastąpiło moje przytrzymanie i co miało oznaczać zawieszenie mnie na ul. Kanoniczą 11. Może za dziesięć minut wyprowadzono z tego domu mego kolegę adwokata dra Bolesława Rozmarynowicza, któremu polecono usiąść we wozie obok mnie. Przywitaliśmy się milcząco, słownie wypowiadając. Samochód ruszył w kierunku ul. Zwierzynieckiej, a następnie w kierunku ul. Tad. Kościuszki. Wtedy zacząłem przypuszczać, że odwieżą nas prawdopodobnie do koszar, znajdujących się na Kołcu Tad. Kościuszki. Wnet atoli na Salwatorze znowu zatrzymali się gestapowcy i weszli do jednej z willi. Jak się później dowiedziałem było w niej mieszkanie inż. Ernesta Ciesielskiego, podpułkownika wojsk polskich, którego w tym czasie w domu nie było, a którego nieco później aresztowano. Po chwili gestapowcy wsiadli znowu do auta i samochód ruszył z powrotem w kierunku miasta, jadąc wolno i ostrożnie, trzymając się zawsze bardzo blisko chodnika, widocznie celem lepszej obserwacji przechodniów. Tak zajechaliśmy na ulicę św. Jena i zatrzymaliśmy się przed domem oznaczonym numerem 18, w którym znajdowało się biuro notariusza i byłego prezydenta miasta Krakowa, dra Bolesława Czuchajowskiego. Za krótką chwilę gestapowcy wyszli bez ofiary, gdyż wówczas dra Bolesława Czuchajowskiego nie było już w Krakowie. Nie uniknął on jednak swego losu, gdyż w późniejszym czasie został aresztowany i przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu gdzie w dniu 3 lipca 1942 r. - jak się później dowiedziałem od innych więźniów - został rozstrzelany. Zbliżywszy się do auta jeden z gestapowców spojrzął na zegarek i stwierdziwszy, że już godzina 1-sza w południe rzekł: "es ist schon 1 Uhr, fahr mit dem Zweien, Essen ist die Hauptsache" /jest już godzina pierwsza, jedź z tymi dwoma, jedzenie jest najważniejsze/. Zgodniwszy gestapowiec wsiadł do swego samochodu, a nasz to jest wiozący mnie i kolegę dra Bolesława Rozmarynowicza, ruszył ulicą Pijarską, przez Plac Matejki, w kierunku ulicy Warszawskiej. Podczas postoju przed domem, w którym mieściło się biuro rejenta dra Bolesława Czuchajowskiego, przypadkowo przechodził szwagier kolegi Rozmarynowicza, adwokat dr. Stanisław Kowenicki ze swoją żoną Elgą, której kolega Rozmaryno-

*Gorlby*

wicz zdołał powiedzieć, że jesteśmy aresztowani. Otrzymawszy tę wiadomość ze zrozumiałych względów szybko oboje się oddalili. Kiedy samochód skręcał w ulicę Montelupich zrozumiałem, że celem naszej jazdy po Krakowie było aresztowanie ściśle oznaczonych osób i umieszczenie ich w więzieniu wojskowym przy ulicy Montelupich. Po przybyciu na duże podwórze więzienia Montelupich, zauważyłem dużo znanych osobistości z Krakowa, między innymi posła dra Stanisława Rymara, dyrektora Henryka Mianowskiego, nadto wielu księży, a w szczególności kapłanów Towarzystwa Jezusowego. Bezpośrednio po zatrzymaniu się auta gestapowcy wprowadzili nas do kancelarii, celem dopełnienia formalności naszego przyjęcia. Zaraz na wstępie, byliśmy świadkami, nad wyraz przykrej sceny. Stóż widzieliśmy jak jakąś ofiarę bito i kopano w nielitościwy sposób, skakano po jej ciele, wśród krzyków i wrzasków: "der Saujud wird sich verstecken, er ist keine Kugel wert". Ofiarą tą był późniejszy nasz kucharz więzienny w Nowym Wiśniczu, Józef Immerglück, właściciel kabaretu w Katowicach. Zimny pot oblewał moje czoło, będąc przeświadczonym, że takie będzie nasze wstępne przyjęcie. Na szczęście obeszło się bez tego. Po złożeniu wszystkich naszych dokumentów, kosztowności, zegarka, koźnierzyka, szelek i krawatów, oraz po podaniu danych osobistych, bez żadnego dalszego badania, przeznaczono nas, to jest mnie i dra. Bolesława Rozmarynowicza, do celi numer 45. - - - - -

Cela numer 45, była kaplicą więzienną, położoną na parterze w skrzydle narożnym przy ulicy Montelupich i Kamiennej. Okna wychodziły na dziedziniec więzienny, a dwa w kierunku ulicy Montelupich. Stojąc przy tych oknach, można było obserwować ruch tramwajowy linii nr. 3 i w tej części kaplicy znajdował się ołtarz. Kaplica więzienna była dosyć starannie utrzymana, ale stanowczo za ciasna dla tej liczby osób, którą tutaj skłoczono. W momencie wprowadzenia nas do tej celi znajdowało się tam bardzo dużo więźniów, przeważnie nauczycieli gimnazjalnych, aresztowanych w dniu poprzednim to jest, 9 listopada 1939 r. w poszczególnych szkołach przy pracy. Między innymi w tej celi byli wówczas: - - - - -

*Goldman*

Bryda Władysław, wizytator w Krakowie, ul Krowoderska 57, - lat 53 -  
Bacz Karol, urzędnik ul Zygmunta Augusta 5 - lat 40 -  
Bugayski Władysław, inżynier rolny, k. Ujejskiego 9, - lat 34 -  
Bielak Franciszek, profesor gimnazjalny, WW.Świętych 7, - lat 47 -  
Dorowski Józef, dyr KKO ul Szpitalna - lat 69 -  
Dziuba Feliks, przemysłowiec, ul Pomorska 6, - lat 36 -  
Drażdzikowski Eugeniusz, profesor gimnazjalny, Al. Skowackiego 25  
Grohmann Stanisław, urzędnik, ul św. Jana 20 - lat 30 -  
Janta Zygmunt, student gimnazjalny, Katowice - lat 18 -  
Krawczyk Antoni, profesor gimnazjalny, Mały Rynek 6, - lat 55 -  
Kelxler Stanisław, artysta grafik, św Tomasz 22, - lat 40 -  
Klemensiewicz Zygmunt, dyr. U. S. Czarnowiejska 15, - lat 65 -  
Lech Tadeusz, absolwent medycyny, św. Łazarza Bożna 8, - lat 30 -  
Mrozek Jan, stud medycyny, Chorzów - lat 25 -  
Mrozek Tadeusz, stud praw, z Chorzowa, - lat 26 -  
Mianowski Jerzy, inż. rolnik, Grotzgera 22 - lat 44 -  
Mayre Ludwik, inżynier, Basztowa 9, - lat 40 -  
Małgier Józef, ks. katecheta, Plac Mariacki 7 - lat 39 -  
Nowak Tadeusz, kierownik szkoły, Podwale 1 - lat 45 -  
Nykliński Antoni, profesor gimnazjalny, Biskupia 5 - lat 33 -  
Nowicki Czesław, prof. gimnazjalny, ul Retoryka 15, - lat 53 -  
Olszewski Zygmunt, urzędnik kolejowy, Basztowa 10, - lat 64 -  
Olszewski Adam, strażnik graniczny ul Emaus 28, - lat 40 -  
Policht Henryk, prof. gimnazjalny, ul Kościuszki 66, - lat 51 -  
Przebinda Józef, stud. uniw. ul Kościuszki 25, - lat 26 -  
Pankiewicz Tadeusz, mgr. Farmacji, Podgórze, Plac Zgody 18, - lat 32 -  
Rozmarynowicz Bolesław, adwokat, Kanonicza 11, - lat 48 -  
Robak Stanisław, kierow. szkoły powsz. Strzelecka 19, - lat 51 -  
Ripper Hugo, dyr. Banku ul. Długa 52 - lat 64 -  
Rauch Oskar, chemik, ul. Rakowicka 14 - lat 53 -  
Stuhr Oskar, adwokat, Kalwaryjska 2 - lat 58 -

Ramult Tadeusz, bankowiec, Zamenhofa 8 - lat 52 -  
 Szyller Adolf, kupiec, ul. Piłsudskiego 21. - lat 51 -  
 Stanisław Ignacy, urzędnik, Kielecka 17 - lat 43 -  
 Sołodyna Roman, urzędnik, Katowice, lat 27 -  
 Szeremeta Stanisław, dyr. Ruchu - ul. Potockiego 3, lat 52 -  
 Słomczka Kazimierz, inżynier, ul. św. Jana 2 - lat 54 -  
 Serafin Stanisław, prof. gimnazjalny, Plac Groble 9 - lat 56 -  
 Stopka Ludwik, prof. gimn. ul. Bandurskiego 9, lat 60 -  
 Tarliński Zygmunt, prof. gimnazjalny, Wola Justowska - lat 58 -  
 Wiśniewski Józef, nauczyciel gimnastyki, ul. Wygoda 11. - lat 53 -  
 Wołski Witold, kupiec, ul. Kremerowska 2. - lat 29 -  
 Zakrocki Stanisław, prof. gimn. ul. Smoleńsk 21. - lat 54 -  
 Żelechowski Jerzy, madyk ul. Starowisłna 16 - lat 23 -  
 W wspomnianej celi, względnie kaplicy więziennej, znalazł się w dalszym  
 ciągu, jeszcze w następujących dniach: - - - - -  
 Spiegel Markus, adwokat ul. św. Sebastiana 36 - lat 54 -  
 Machay Ferdynand, ksiądz ze Zgrom. Filipinów, Tarnów,  
 Goldstein Abraham, adwokat ul. Krakusa / Zwolniony zresztą po trzech dniach /

Znalazłszy się w tak liczonym gronie, szybko ochłonąłem i wszyscy  
 wspólnie zaczęliśmy zastanawiać się nad powodem i celem naszego aresztowa-  
 nia, względnie przytrzymania, bo i pod tym względem toczyły się między  
 nami teoretyczne spory. Wszyscy byliśmy zdania, że Niemcy obawiając się  
 zapewne w dniu 11 listopada 1939 r., a więc w dniu święta państwowego jakiegoś  
 odruchu, zatrzymali nas na krótki czas, jako zakładników / "Geisel",  
 i że w najbliższym czasie, zostaniemy znów zwolnieni, a co najmniej podda-  
 ni jakiemuś dalszemu badaniu. Niestety nie przeczuwaliśmy jeszcze wtedy  
 naszego dalszego losu, nie podejrzewając Niemców w dwudziestym wieku, o  
 takie zbrodnicze zamiary, które w czyn powoli wprowadzali. W dniu 13 li-  
 stopada 1939 r. umieszczono wśród nas jako dalszą ofiarę wspomnianego  
 już wyżej Józefa Przebindę / zmarłego w obozie koncentracyjnym w Oświęci-  
 miu w dniu 2 maja 1941 r. / słuchacza U.J. i podporucznika rezerwy Wojsk

*J. Goldstein*



Polskich. Wspominam specjalnie o nim, gdyż ten młody człowiek, dzielny oficer Wojsk Polskich, pełen temperamentu i szlachetnego serca, przyłączył się do mnie wprost synowskim przywiązaniem, tak, że od pierwszej chwili stał się moim nieodłącznym towarzyszem, oraz przyjacielem szczerym & oddanym w dalszej naszej wspólnej, często bardzo ciężkiej i bolesnej wędrówce. Dzięki temu, że umieszczeni byliśmy w kaplicy więziennej, w której także zdeponowane były wszystkie szaty liturgiczne współwięźniowie, ksiądz Józef Małgier, a potem także i ksiądz Ferdynand Machay, mogli odprawiać Mszę św., którejsmy wysłuchiwali z nabożeństwem i w podniosłym nastroju i mogliśmy dostępować do Sakramentów św. Pokuty i Ołtarza, co podnosiło nas wszystkich na duchu i dodawało nam otuchy i nadzieji, że szczęśliwie wrócimy do domów. Strażnicy o tym nie wiedzieli, a może być, że nie chcieli wiedzieć, gdyż specjalnych szykan wobec nas w tym czasie nie stosowali i nie zmuszali nas do żadnych zajęć. W celi odwiedzali nas często, tłumaczyli nam, że nie jesteśmy zbrodniarzami, że wnet nas wypuszczą, że jesteśmy tylko zakładnikami. W istocie rzeczy, sami nic nie wiedzieli, bo byliśmy w rękach "gestapo" i ono decydowało o naszym przyszłym losie. Straż więzienna składająca się z ludzi prostych, wykonywała tylko ślepo wydane im zlecenia przez "gestapo". Z wyżej wymienionych osób, znajdujących się w celi nr. 45, zwolniono tego samego dnia, w którym został zatrzymany t.j. w dniu 10 listopada 1939 r. dyr. Józefa Dorawskiego. Po upływie 14 dni, zwolniono kilkunastu, przeważnie tych, których przytrzymało w rozmaitych lokalach publicznych. Po kilku tygodniach zwolniony został senator Zygmunt Klemensiewicz, którego brak później bardzo odczuwaliśmy, gdyż on umiał swoim humorem i wiarą, podtrzymywać nas na duchu i nie pozwolił, żeby w serca nasze wkradła się niewiara, lub wątpliwość. Jego powaga, a zarazem duch młodzieńczy, zjednoczo/ w jedną całość, dodawały nam dużo sił, których nam było potrzeba. Zwolniono po przesłuchaniu prof. Krawczyka, a później także prof. Zakrockiego Stanisława i nauczyciela gimnastyki Wiśniewskiego Józefa. Łudziliśmy się zawsze, że nastąpią przecież przesłuchania, a wobec braku jakiegokolwiek

*Gościński*

winy, zostaniemy wszyscy zwolnieni. Mijały tygodnie, a areszt się przedłużał i dalsze zwolnienia nie nadchodziły. Czas się dłużył, a skracaliśmy sobie nudy pogadankami na rozmaite tematy naukowe. Kolega Eugeniusz Drozdziowski i Franciszek Bielak, wykładali nam literaturę, polską i niemiecką, ksiądz Józef Maigier, poruszał tematy teologiczne, zaś kolega Bolesław Rozmarynowicz i ja omawialiśmy nasze poglądy prawnicze. Ja z kolegą Józefem Przebindą ulokowałem się za ołtarzem kaplicy, zaraz po kilku dniach bowiem koledzy moi, a głównie mój bezpośredni sąsiad dr. Bolesław Rozmarynowicz, żalił się okropnie, zresztą zupełnie słusznie, że chrapałem i wskutek tego nie mógł należycie wypocząć. Uwzględniając jego zdenerwowanie schowałem się za ołtarz i chrapałem codziennie spokojnie, mając zupełnie czyste sumienie i czekałem dalszego losu. Kolega Policht Henryk, artysta malarz, skracał sobie nudy w ten sposób, że niezmordowanie rysował i malował portrety nas wszystkich bez wyjątku, i prawie wszyscy mamy pamiątki z tego czasu, a zwłaszcza ci, którzy umieli w sposób umiejętny uratować te pamiątki w dalszych wędrówkach po obozach koncentracyjnych. Kolega Policht początkowo malował tylko farbami wodnymi, malował także i strażników, którzy go ogromnie nagabywali i prosili, aby ich uwiecznił, zwłaszcza kiedy stwierdzili talent mistrza. Chcąc mieć portrety malowane farbą olejną doprowadzili do tego, że kolegę Henryka Polichta zawieźli z więzienia do domu, przy ul. Tań. Kościuszki 1.61. i pozwolili mu zabrać tubki z farbami olejnymi. Dzięki tej okoliczności, mógł kolega Policht nadspodziewanie porozumieć się ze swą rodziną i przynieść nam pewne wiadomości z wolności.

Obchodzenie się strażników z nami było poprawne. Spaliśmy na siennikach na ziemi, gęsto stłoczeni. Odżywianie było bardzo skromne, ale ostatecznie dostateczne zwłaszcza, że pomoc społeczeństwa krakowskiego, w formie obiadów dostarczanych nam z klasztoru SS. Szarytek przy ul. Warszawskiej, była dobra, a ponad to rodziny nasze nie zapominały o nas i dwa razy przynajmniej w tygodniu dostarczały nam pakunków z żywnością. Odczuwaliśmy jednak brak kąpielii i możliwości należytego umycia się, bo urządzenia w tym kierunku

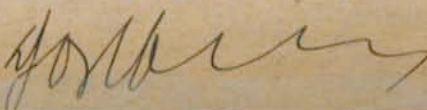
*Wojciech*

ku zwłaszcza podczas zimnych dni i późnej jesieni były niewystarczające. Po dwóch względnie trzech tygodniach pozwolono nam wyjść na półgodzinny spacer na podwórze. Ustawiono nas czwórkami, kazano maszerować i śpiewać popularne piosenki. Z kolegami przebywającymi w innych celach i piętach nie można było się stykać, bo zawsze byliśmy pod kluczem, oprócz małej chwili, w czasie wydawania jedzenia i ранego sprzęta. W owym czasie przebywali w więzieniu na ul. Montelupich prezydent miasta Krakowa inż. Karol Rolle i wiceminister inż. Henryk Dudek. Aresztowani byli oni w związku z działalnością Polskiego Związku Zachodniego, chorowali ciężko, a zwłaszcza inż. Henryk Dudek. Prezydent inż. Karol Rolle został zwolniony w grudniu 1939 r., zaś inż. Henryk Dudek opuścił szpital więzienny, o ile się nie mylą w maju 1940 r. - - - - -

Dzień 23 grudnia 1939 r. jest dla mnie dniem, którego nigdy nie zapomnę. W dzień Wilgi Bożego Narodzenia, około godz. 6-tej rano, wszedł do celi strażnik i wezwał mnie, Józefa Przebindę i Oskara Raucha do kancelarii. Bardzo się ucieszyłem, albowiem byłem głęboko przekonany, że nastąpi nasze zwolnienie. Dotychczas, jak i w ciągu kilku następnych miesięcy nie byłem w ogóle przesłuchany. W kancelarii oświadczono nam, że mamy zebrać swoje rzeczy i oczekiwać dalszego zarządzenia w celi. Wróciwszy do celi, koledzy z największą, chęcią zaczęli pomagać w pakowaniu naszych rzeczy, dawali nam rozmaite zlecenia do wykonania i tak w podnieceniu oczekiwaliśmy dalszego wezwania. Za chwilę wezwano dalszą trójkę i tak dalej tak, że prawie wszyscy, z wyjątkiem może trzech, czy czterech, zostali wezwani do spakowania rzeczy. Trwało to mniej więcej do godziny 7-mej rano. W tym czasie kazano nam wyjść na korytarz, a za chwilę polecono wsiadać do czterech wielkich ciężarowych aut przykrytych płachtami. Przy tych autach było bardzo dużo policjantów w chełmach i z bronią w ręku. Policjanci rozkazali nam szybko wsiadać do tych wozów, nie szczędząc krzyku i wyzwisk. Chwilowa radość, że znowu uzyskamy tak u pragnioną wolność, a zwłaszcza, że w dniu tak radosnym jak Wigilia Bożego

*Józef Przebinda*

Narodzenia znaleźliśmy się w domu, ustąpiła, kiedy nas wpędzono do samochodów ciężarowych. Ruszyliśmy z miejsca, zdawaliśmy sobie sprawę, że nas wywoła, ale nie wiedzieliśmy dokąd?. Przez chwilę sądziliśmy, że do Katowic, skoro wjechaliśmy na drogę prowadzącą w kierunku Katowic, atoli wnet skręciliśmy w bok i zajechaliśmy pod dawną podchorążówkę na Łobzowie. Tam zaprowadzono nas do kąpieli, przeprowadzono dezynfekcję ubrań. Wszystkie czynności z tym związane musieliśmy wykonywać w błyskawicznym tempie. Będąc zupełnie niewinny i dotychczas nie przesłuchany, ludziem się przez chwilę, że może to tylko kąpiel święteczna, bośmy się od tygodnia nie kąpali, że nas takich brudnych i niedostatecznie umytych do domu puścić nie mogą. Po kąpieli i przeprowadzeniu dezynfekcji ubrań zażądano nas znowu do samochodu i wieziono w kierunku dworca kolejowego. Wejście do wagonów przy poczcie, na dworcu osobowym, było dla publiczności zamknięte i wtedy wśród gęstego szeregu policjantów wprowadzono nas do pociągu i umieszczono w czterech wozach towarowych. Zrozumiałem że jedziemy do więzienia, ale do którego i gdzie nie wiedziałem. Strażnicy będący w tym wozie, w którym jechałem, zdradzili tajemnicę tylko o tyle, że jedziemy do Bochni, podali przy tym, że będziemy w obozie, gdzie są wcale dobre urządzenia, jest na przykład kantyna, a będzie tylko praca w nieco zmienionych warunkach. Do Bochni przyjechaliśmy około godz. 3-ciej po południu. Na stacji oczekiwał nas kordon policjantów niemieckich, pieszych i konnych, w łącznej liczbie 50. Otoczono nas ze wszystkich stron i szybkim krokiem zaczęto nas pędzić szosą prowadzącą do Nowego Wiśnicza, odległego o jakie 8 - 9 km od Bochni. Bochnia robiła wówczas przykre i przynębiające wrażenie, było to bowiem w trzy dni po pacyfikacji, względnie po powieszeniu kilku osób na rynku. Ludzie wystraszeni wystawali w bramach i nieśmiało przystępowali do okien, widocznie nie zdając sobie sprawy z tej dziwnej, przykrej wędrówki 100 osób, strzeżonych i pilnowanych przez 50 policjantów. Byli to pierwsi 100, którzy mieli tworzyć załęg obozu koncentracyjnego



na ziemi polskiej, zrazu pod niewinną nazwą "Arbeitslager" w Nowym Wiśniczu. Obóz ten mieścił się w dotychczasowym ciężkim więzieniu karnym, w którym po wybuchu wojny we wrześniu 1939 r. i po rozpuszczeniu więźniów kryminalnych, przebywali przez jakiś czas jeńcy wojenni Polacy. Tych pierwszych 100 usunięto z więzienia przy ul. Montelupich, ażeby zrobić miejsce dla innych, których zatrzymało gestapo podczas świąt Bożego Narodzenia, względnie Nowego Roku. W tej liczbie 100, znaleźli się prawie wszyscy koledzy z celi nr. 45, a bali nimi następujący koledzy w alfabetycznym porządku podani: - - - - -

1. Baliński Tadeusz Andrzej /cela nr 16./
2. Basler Ignacy / " nr 23./
3. Bereski Mikołaj " " 22
4. Bielak Franciszek " " 20
5. Bil Mieczysław " " 30
6. Bil Władysław " " 30
7. Birnbaum Robert " " 23
8. Borek Mieczysław " " 29
9. Bornstein Karol " " 23
10. Brodkiewicz Wacław " " 16
11. Bromilski Jan " " 22
12. Bryda Władysław " " 28
13. Brzostyński Adam " " 22
14. Cieślowski Ernest " " 17.
15. Chłodnicki Tadeusz " " 22
16. Gembowski Kazimierz " " 30
17. Dobrowolski Adam " " 22
18. Drozdziowski Eugeniusz " " 20
19. Dyszel Szymon " " 23
20. Dziuban Bronisław " " 15
21. Dziuban Paweł " " 19
22. Falk Zygmunt " " 23

23. Forster Adolf	cela nr. 23
24. Gettinger Salke	" " 23
25. Golarz Józef	" " 22
26. Morczyca Władysław	" " 22
27. Gut Władysław	" " 24
28. Hirsch Czesław	" " 18
29. Hirsch Leopold	" " 18
30. Hess Stanisław	" " 21
31. Immerglück Józef	" " 15
32. Janik Wincenty	" " 25
33. Janta Zygmunt	" " 24
34. Jarża Stanisław	" " 21
35. Karbowski Franciszek	" " 22
36. Korpel Tadeusz	" " 17
37. Karwasiński Jan	" " 18
38. Kibała Władysław	" " 21
39. Klecha Jan	" " 25
40. Kochanek Władysław	" " 28
41. Kocko Roman	" " 24
42. Kolber Samuel	" " 23
43. Krawczyk Józef	" " 22
44. Krawczyk Marcin	" " 22
45. Krause Jan	" " 18
46. Kucaba Władysław	" " 29
47. Latusek Tadeusz	" " 29
48. Lichtenberg Józef	" " 19
49. Liwacz Jan	" " 25
50. Lorenz Zygmunt	" " 17
51. Małgier Józef	" " 20
52. Markowski Aleksander	" " 16
53. Mielecki Jan	" " 22

*[Handwritten signature]*

54. Najbar Eugeniusz	cela nr. 19
55. Niemiec Rudolf	" " 17
56. Nikliński Antoni	" " 20
57. Olcarczyk Kazimierz	" " 19
58. Pawliszewski Tadeusz	" " 25
59. Policht Henryk	" " 20
60. Popiel Artur	" " 18
61. Przebinda Józef	" " 28
62. Rabczyński Adam	" " 24
63. Radoń Władysław	" " 15.
64. Rauch Oskar	" " 21
65. Rejman Antoni	" " 25
66. Robak Stanisław	" " 28
67. Rolski Eustachy	" " 25
68. Rosenberg Szaja	" " 22
69. Rozmarynowicz Bolesław	" " 20
70. Różycki Adam	" " 21
71. Rzeźnikowski Ludwik	" " 30
72. Serafin Stanisław	" " 21
73. Silber Stanisław	" " 23
74. Szpiegel Markus	" " 23
75. Soroczyński Benedykt	" " 21
76. Soroczyński Jerzy	" " 25
77. Skop Stanisław	" " 21
78. Skugowski Stanisław	" " 21
79. Stopka Ludwik	" " 20
80. Stuhr Oskar	" " 28
81. Szancer Eugeniusz	" " 23
82. Szuster Rudolf	" " 29
83. Tańra Tadeusz	" " 29
84. Tarnawski Mieczysław	" " 18

*Handwritten signature*

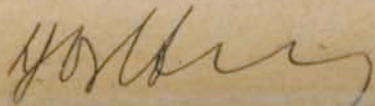
85. Tarnawski Stanisław	cela nr. 21.
86. Toczek Piotr	" " 21.
87. Toczek Szymon	" " 21
88. Toczek Walenty	" " 21
89. Toczek Walenty/po Pawle/	" " 21
90. Theodor Władysław	" " 25
91. Turek Tadeusz	" " 25
92. Urban Jan	" " 15
93. Urbański Mieczysław	" " 25
94. Wachsberger Jakób	" " 23
95. Wasser Majer	" " 23
96. Witke Franciszek	" " 22
97. Wojtuszkiewicz Wład.	" " 22
98. Żołotenki Witold	" " 16
99. Zoszak Piotr	" " 24
100. Zych Józef	" " 25.

Wspomniany wyżej dzień wigilijny, sobota 23 grudnia 1939 r. pozostał mi w trwałej pamięci. Obciążeni pakunkami musieliśmy szybko z dworca kolejowego w Běchni maszerować bez przerwy, prawie biegiem, ciągle poganiani przez policjantów wykrzyknikami: los! los! - do więzienia. Zegar więzienny wskazywał właśnie godzinę 5,45 kiedy staliśmy na podwórzu więziennym w dwuszereg ustawieni i składano raport z naszego przybycia komendantowi tego obozu, Hermanowi Dolppowi, Standartenführerowi, który zaraz na wstępie okazał swe zdolności, uderzając jednego z naszych kolegów tak silnie harpem w twarz, że się zakrwawił. Powodem tego było, że nie dość sprężysto stanął na baczność, wezwany przez strażnika więziennego Sojkę Michała. Zmęczeni i całkiem wyczerpani, bez pożywienia przez cały dzień, zostaliśmy objęci w bezpośrednią opiekę przez dozorcę więziennego, zajętego od kilku lat, a więc jeszcze za czasów polskich, w zakładzie więziennym, Michała Sojkę, który mieszkał w Leksandrowej, niedaleko Wiśnicza. Tutaj muszę zaznaczyć, że trudami codziennymi

*Yorben*

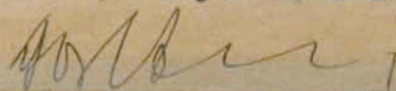


całodziennymi byłem do tego stopnia znudzony i wyczerpany, że ledwie dowlokłem się do tego więzienia, wspierany przez wspomnianego już przeze mnie śp. Józefa Przebindę, oraz drugiego towarzysza niedoli, kierownika szkoły, Stanisława Robaka. Sojka podzielił nas szybko na poszczególne grupy i wpędził nas do 15-tu poszczególnych cel, położonych na parterze głównego budynku, a właściwie znajdujących się w podziemiu. Ja z moim nieodłącznym kolegą Józefem Przebindą i Stanisławem Robakiem dostałem się na kilka dni do celi nr. 14. Było nas w tej celi 14-tu, a między nimi znajdował się były poseł z grupy Piasta Paweł Toczek. Cella wąska, długa, była bardzo zawilgocona i ciemna. Łóżka były żelazne, sienniki stare, grubo pokryte kursem. Znużeni i wyczerpani, wszyscy wnet rzuciliśmy się na łóżka i przez chwilę, biegnąc myślą xx do naszych, w Noc Wigilijną zasnęliśmy. Ranko obudzono nas do robienia ogólnego porządku w więzieniu, które znajdowało się w dużym nieładzie i nieporządku. Poprzednio przetrzymywano tam przez jakiś czas jeńców polskich. Niedziela znowu przeszła bez jedzenia; w miarę możliwości jeden drugiego odżywiał resatkami zapasu przywiezionego z więzienia przy ul. Montelupich, ale ten był już bardzo skąpy. Polecono nam od razu wykonywać najprzykrejsze roboty porządkowe, a co gorsza nie dano do tego żadnych narzędzi, ani szmaty, ani miotły, tak, że sprzątanie musiało się odbywać gołymi rękami. Pod wieczór otrzymaliśmy trochę czarnej kawy. Nadszedł właściwy wieczór Wigilijny. Wszyscy rozpłakaliśmy się z okazji życzeń świątecznych Bożego Narodzenia. W duszach naszych ucichły na chwilę uczucia rozpacz, zwątpienia i nienawiści. Wszystkich nas ożywiała wiara, że dożyjemy następnej Wili Bożego Narodzenia już w wolnej Polsce i dlatego za chwilę byliśmy już w weselszych nastrojach, a nawet śpiewaliśmy kolędy. Dziwnie smutny był tego dnia Józek Przebinda. Rozpłakany mówił do mnie: "mecenas to dożyje, ale ja nie". Potem niejednokrotnie przy różnych sposobnościach podnosił to i nikt nie mógł go uspokoić, tak złowrogo przeczuwał, że nie danym mu będzie oglądać gorąco



przez niego ukochanego Krakowa. Na drugi dzień w święto św. Szczepana rozpoczęła się już programowa praca. Podzielono nas na oddziały. Część przeważnie strasznych, do których i ja należałem, przeznaczono do pomocy w kuchni, w szczególności do skrobania ziemniaków. Kucharzami we właściwym tego słowa znaczeniu, byli Józef Immerglück i Bronisław Dziuban. Część kolegów poszła do czyszczenia korytarzy więziennych, innych zaś przeznaczono do sprzątnięcia podwórzy, następnych do noszenia węgla, do zakładowej elektrowni, resztę zaś przeznaczono do uruchomienia stolarni i ślusarni. Komornik Krawczyk był przeznaczonym do pastwienia świń. W tym to dniu spędzono nas do podziemia, gdzie znajdowały się magazyny odzieżowe więźniów i tu kazano nam w piwnicach rozebrać się do naga, mimo przenikliwego zima, oraz wydano nam, każdemu tylko bluzkę i spodnie, aresztanckie, nieoglądając się na wielkość i wzrost danego więźnia. Niektórzy z nas wyglądali w tych garniturach okropnie. Własne ubrania musieliśmy złożyć, każdy w swej półce, oznaczonej numerem. Ja otrzymałem schowek pod numerem 94. Kosztowności, zegarki, pierścionki, wieczne pióra, zostały skłózone osobno, jako depozyt wartościowy. Płaszcz ani czapek nie otrzymaliśmy. Wszedł nawet zakaz używania własnej garderoby, tak, że nie można było mieć przy sobie ani szalika, ani ciepłej bielizny. Tak ubrani żyliśmy przez całą zimę z roku 1939 - na 1940, a tej zimy mróz bardzo często dochodził do 35 stopni C. Musieliśmy tylko w bluzkach i spodniach aresztanckich całymi godzinami być w pracy, na podwórzu, lub w nieopalanym i nieoszlonym warsztatach. W tych warunkach bardzo dużo kolegów odmroziło sobie wówczas uszy i ręce; między innymi adwokat krakowski dr. Markus Spiegel, który potem zginął w obozie koncentracyjnym w Górowie. W budynku głównym więziennym zajmowaliśmy cele najgorsze, bo prawie że w piwnicy leżące, kuchnia była jeszcze głębiej, zaś pralnia i tkalnia były w innym budynku. Praca rozpoczęła się właściwie ze wschodem słońca, a kończyła się ze zachodem, z przerwą godzinną na tak zwany obiad t. zn. na spożycie zupy kartoflanej lub buraczanej. Rano otrzymywaliśmy wodę czarną, a bardzo często

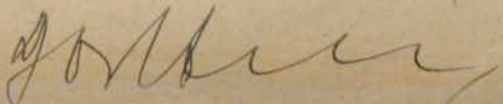
jakby na ironię, tylko gorącą wodę. Gdyby nie pomoc naszych rodzim w formie tygodniowych paczek żywnościowych, które nam regularnie dostarczał P.C.K., względnie H.G.O., musielibyśmy w krótko umrzeć a wycieńczenia. Apele ranne i wieczorne, bez okrycia głowy, bez płaszczy, w czasie tak ciężkich mrozów, trwających przez kilka tygodni/odziani tylko w nędzną bieliznę więzienną/ dawały się nam bardzo we znaki. Zmuszano nas jednak do pewnego humoru i śpiewu. Maszerując czwórkami dookoła podwórza więziennego musieliśmy śpiewać popularne piosenki, na przykład "Miała baba koguta" i t p. Nadzór nad nami bezpośredni miał - jak już wyżej zaznaczyłem - dawny dozorca więzienia wiśnickiego Michał Sojka. Ten z chwilą wkroczenia Niemców zgłosił się do służby niemieckiej i za judaszowe srebrniki zdradził Naród Polski. Sojka obznajomiony z całym urządzeniem tego zakładu, był w nim właściwą duszą jego i sprężyną. On podsuwał wszystkie możliwe i nie możliwe plany komendantowi w kierunku naszego zatrudnienia, przeprowadzał podział pracy, on był niejako doradcą miejscowym właściwego komendanta obozu, ~~straza~~ Hermana Dolppa, który pełnił tę "zaszczytną funkcję" tylko do nowego roku 1940. Ten krótki czas jego panowania dał się nam jednak dobrze we znaki i poznaliśmy w nim człowieka, którego najgłówniejszym zajęciem było, picie alkoholu i uganianie po całym zakładzie, zaglądnienie w każdy kąt z nieodłączną trzcinką względnie nahałem, którym częstował każdego, którego spotkał i którego mina mu się nie podobała. Pierwszym jego zarządzeniem było usunięcie krzyża świętego z celi, a wykonania tego zarządzenia dopilnował z całą pasją. Wpadł więc raz do naszej celi, strącił harapem ze ściany wizerunek Ukrzyżowanego wykrzykując: "warum hängt der Hund noch hier". Nas obecnych w celi ogarnęła trwoga, aby nas nie częstował za to "przestępstwo" biczyskiem po głowach, -dając upust swej krwiożerczej wściekłości. On też polecił, aby następnie wszystkie krzyże z Ukrzyżowanym Chrystusem zebrać do warsztatu stolarskiego i tam zaczął odrywać figury blaszane i rzucać na kupę śmieci, przy czym dla przykładu własnoręcznie pokazywał jak to należy czynić. Nie potrzebuje pod-



kreślać z jakim uczuciem było wykonywane przez nas i ile sprawiało nam bólu moralnego wykonanie takiego dzikiego zlecenia. Sam zawsze dobrze i ciepło ubrany, kazał na przykład godzinami wykonywać pracę koło zabezpieczenia rur wodociągowych na podwórzu i w stajniach wśród wielkiego mrozu, nie bacząc, że skostniałe - już odmrożone - ręce nie mogły tych robót sprawnie i jak on zwykle żądał - w mig - bardzo szybko wykonywać. Podczas ~~na~~ apelu nie raz przy trzydziesto stopniowym mrozie, bez nakrycia głowy i bez płaszcza, przetrzymywał nas umyślnie swoją gadaniną, nie szczędząc szyderstw pod naszym adresem, a zwłaszcza oficerów wojsk polskich. Raz kazał wystąpić wszystkim oficerom. Oglądał ich ze wszystkich stron i odezwał się: "Armsehlige Gestalt~~en~~, bei uns ist ein Korporal besser" /marne postacie, u nas kapral lepiej wygląda/. Zapomniał ten zbir, że wyczerpani już kilkunastutygodniowym więzieniem, brakiem odpowiedniego pożywienia, a dalej ubrani w brudne, zniszczone ubrania więzienne, bez możliwości umycia się, z powodu braku tych urządzeń, - nie mogli się prezentować jak on, który cały dzień pił, jadł, spał, golił się dwa razy dziennie i ubierał się w piękny mundur Standartführera. Jak powiedziałem, panowanie jego trwało krótko, bo za dwa tygodnie odjechał na inne stanowisko, a zastępstwo jego objął chwilowo, rangą znacznie niższy, niejaki Funk, który - obiektywnie należy przyznać - w tym czasie w stosunku do nas zachowywał się całkiem poprawnie. W połowie stycznia 1940 r. objął komendę Standartenführera niejaki Asmus. Był to ciekawy typ, milczek, lubiący wszystko dokładnie obserwować, nie zdradzając wobec nas żadnych zbrodniczych zamiarów i niskich instynktów, skrycie wydający instrukcje, które nas dotkliwie dotykały, udający niewiniątko, które nie chciało naszej krzywdy, a w gruncie rzeczy tolerujący z całą perfidią wszelkie wybryki i szykany strażników oraz ich pomocników. Znaczam, że służbę wartowniczą z początku spełniali wyłącznie policjanci niemieccy w zielonych mundurach, przeważnie rezerwowi, rekrutujący się ze sfery dosyć inteligentnych; byli między nimi urzędnicy sądowi i bankowi. Oni poznawszy nasze położenie i właściwy powód naszego

*Golbier*

przytrzymania odnosili się do nas na ogół dosyć względnie. Z tej strony było bez porównania mniej szvkan jak ze strony Michała Sojki i innych, o których później wspomnę. Stosunek tej straży do nas pogarszał się wówczas kiedy przychodziły do zakładu oddziały tak zwanych Selbstschutzów, dla wzmocnienia załogi więziennej. Byli to zaprzaniicy, późniejsi Volksdeutsche i Reichsdeutsche, ubrani w czarne mundury. Były to słabe jednostki, Polacy bez czci i wiary, którzy zgłosili się do zdraździeckiej służby niemieckiej. Doznawaliśmy dużego upokorzenia, kiedy kazano nam ludziom starszym i poważnym oddawać ukłony przed takimi przeważnie młokosami, - przez zdjęcie czapek więziennych, trzy kroki przed nim i trzy kroki ~~za~~ za nim. Komendant zajmował piękną wille<sup>w</sup> /której przed wybuchem wojny mieszkał naczelnik więzienia Śledziejewski. Teoretycznie nie byliśmy bez opieki lekarskiej. Był lekarz naturalnie SS-owiec, nie taki dr. Himmelbach, człowiek młody, który przeważnie na kilka dni w tygodniu jeździł na zabawę do Krakowa, a właściwą opiekę lekarską składał w ręce współwięźnia ukończonego medyka Władysława Teuerlego, który później przeszedł na stronę niemiecką i był lekarzem wojskowym. Leczenie było zupełnie problematyczne, wobec braku środków leczniczych, zwłaszcza po wyczerpaniu skromnego zapasu jaki został w zakładzie po więźniach względnie jeńcach polskich. Bogu dzięki, zdrowie nam mimo wszystko - z uwagi na wysokie położenie zakładu - dopisywało, bo, oprócz ciężkiego rozchorowania się kolegi rejenta Adama Brzestyńskiego, wszyscy trzymaliśmy się dosyć dobrze. Nie mogę pominąć, że z wiosną, a więc w marcu lub w kwietniu 1940 r. zmarł jeden z kolegów niejaki Wiński porucznik artylerii, pochodzący z Częstochowy, co do którego Sojka i jemu podobni twierdzili, że jest symulantem i jako takiego bito<sup>o</sup> i katowano. Dopiero śmierć przekonała strażników i doktora, że zmarł wskutek ropienia opon mózgowych, a to w następstwie ciężkiej rany, jaką odniósł na wojnie. Śmierć jego, pierwszego w tym czasie, wywarła na wszystkich nad wyraz przerażające wrażenie. Ciało jego zostało w trumnie



wydana rodzinie, a pogrzebany został na miejscowym cmentarzu w asystencji księży. Wspominam o tym dlatego, albowiem później pogrzebano tylko jeszcze jednego w trumnie, następnie zaś tego zaniechano, jak również nie zawiadamiano rodzin. Z czasem wskutek niedostatecznego odżywienia i zimna, oraz wielkiej wilgoci w celach, wielu kolegów zostało dotkniętych plagą czeraków, których nie można było się pozbyć. Sam także zostałem dotknięty tym schorzeniem; chciało nawet wykonać zabieg operacyjny, ale ja widząc w jakich jestem rękach wołałem zrezygnować "z wypróbowanych zdolności chirurgicznych" dra Himmelbacha i zdałem się na łaskę losu i przez sześć tygodni byłem zwolniony od skrobania ziemniaków, mając poruczoną jedynie czynność w utrzymywaniu porządku w celi nr. 28, do której po kilku dniach mego pobytu dostałem się, w towarzystwie Józefa Przebindy, Władysława Kochanka nauczyciela szkoły kałudzkiej, Stanisława Robaka kierownika szkoły powszechnej, oraz wizytatora Władysława Brydy. Usunięty chwilowo od skrobania ziemniaków zostałem także pozbawiony miłych pogadań na rozmaite tematy naukowe i polityczne, poruszane przez rektora akademii Górniczej Jana Krauzego i redaktora Artura Popiela. Cella nr. 28, w której nas pięciu się znajdowało, była bardzo mała, bo zaledwie 2,5 m długa i 2,5 m szeroka. Łóżka były do ściany na dzień przypinane. Można się było domyśleć jakie były warunki naszego bytowania, gdzie nie było nawet miejsca na umycie się. Przed wielkim zimnem broniliśmy się w ten sposób, że kradliśmy węgle z piwnicy, chowaliśmy je pod łózkami, a w nocy rozpalaliśmy piec żelazny, który rozgrzewał się wprawdzie szybko, - ale tylko w tym celu, <sup>po jego ostygnięciu</sup> aby jeszcze więcej odczuwać ziąb i wilgoć, zwłaszcza, że wspomniana cella znajdowała się niedaleko ustępów. Skoro jestem już przy tej nie estetycznej części budynku, urągającej najprymitywniejszym zasadom higieny, podnoszę, że utrzymanie porządku w tejże, przez kolegów przeznaczonych do tej pracy, wymagało od nich bardzo dużo zaparcia się siebie; był to szczyt poniżenia wolności ludzkiej, ludzi Bogu ducha winnych. - - - - -

Strażnik więzienny Michał Sojka odbierał raporty naturalnie w je-

zyku niemieckim, który mu składał kolega więzienny dr. Wacław Brodki-  
wicz, będący - jeżeli rzecz można - naszym przełożonym. Stanowił on łącz-  
cznik między nami a Sojką. Funkcja ta była nad wyraz przykre i wymagała  
bardzo dużo energii i sprytu, aby nas ratować od szykan w miarę moż-  
ności, wśród tych ciężkich warunków. Zadanie to nad wyraz przykre speż-  
niał ku naszemu ogólnemu zadowoleniu bez zarzutu, aż do czasu jego zacię-  
nienia, które nastąpiło w dniu 6 kwietnia 1940 r. Jemu to zawdzięczał  
nie jeden, że ze względów zdrowotnych lub ogólnego braku sił, dostawał  
się do roboty, która pozwalała mu przetrwać te ciężkie chwile. On też  
umiał niejednokrotnie wyłkumaczyć Michałowi Sojce w przystępie jego  
dobrego humoru niejedno niedociągnięcie i uchronić nas od przykrości.  
Kiedy mu swego czasu za objawy koleżeńskie i zyczliwość dziękowałem  
nie chciał tej podziękii przyjąć, zaznaczając, że jest przekonany, że ja  
w stosunku do niego tak samo bym postąpił. Na noc byliśmy zamykani na k  
ciężkie klucze i wszystkie bramy więzienne były zamknięte, a na zaw-  
nątrz stały dzień i noc posterunki. Łączność ze światem była utrudnio-  
na, a jednak nie całkiem odcięta, dzięki pomysłowej organizacji i pracy  
rodaków, o której pokrótce muszę wspomnieć z wyrazami mojego najwyższe-  
go uznania i dozgonnej wdzięczności. Mam tu na myśli przede wszystkim  
p. Władysława Fireka, dyrektora zarządu dóbr Ks. Lubomirskich w Nowym  
Wiśniczu, notariusza dra. Franciszka Hażatka w Nowym Wiśniczu, oraz miej-  
scowego restauratora i jego żony Ródołfa i Genowefy Fileków. Wymienieni  
natychmiast, po prostu od chwili naszego przepędzenia z Krakowa do za-  
kładu więziennego w Nowym Wiśniczu zorganizowali nam pomoc tajną, za-  
konspirowaną i wielkie usługi nam dającą. Przede wszystkim za pośrednic-  
twem wyżej wymienionych osób, bardzo często rodziny nasze znajdowały  
schronienie u nich, nocowały i szukały nawiązania kontaktu z nami, głów-  
nia za pośrednictwem Władysława Rajskiego, maszynisty w elektrowni wię-  
ziennej. Ten niejednokrotnie, obciążony pod płaszczem, prznosił najniez-  
będniejsze artykuły żywnościowe, a co ważniejsze potrzebne lekarstwa.  
Gdyby nie jego bezinteresowna - co z naciskiem podnieść należy - pomoc

*Wojciech*

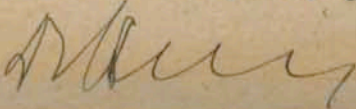
kto wie, czy kolega nasz żyjący rejent Adam Brzostyński, zachowałby się przy życiu. Za jego pośrednictwem starano się i często z bardzo dobrym skutkiem udobruchać zresztą przekupnego Michała Sojkę. Przez ręce tych osób szły nasze korespondencje, nasze prośby i żale, nasze rozporządzenia ostatniej woli, nasze podobizny po mistrzowsku wykonane przez kolegów więziennych Stanisława Żurowskiego, a Tadeusza Korpala, Henryka Polichta. Wszyscy na wstępie wymienieni, narażając się niejednokrotnie na wykrycie tej tak surowo zakazanej pomocy, po prostu z narażeniem swego życia ratowali nas. Ponury i nie do zniesienia byłby ten czas, w tym ciężkim więzieniu, gdyby nie ta nad wyraz ofiarna pomoc wspomnianych. Dlatego wdzięczność nasza i naszych rodzin jest dla nich dozgonną i nikt z nas tego ratunku podczas tego potopu nie zapomni. Należy się im wszystkim cześć za wysoce patriotyczną działalność w stosunku do nas, tych pierwszych więźniów politycznych na ziemi polskiej, a co najważniejsze, za działalność wykonaną tak sprawnie, a przy tym tak skrycie, że o bliższych szczegółach i obobach dopiero po naszym zwolnieniu dokładnie dowiedzieć się byliśmy w możności. Jednemu z naszych kolegów adwokatowi drowi Tadeuszowi Turkowi udało się zorganizować spotkanie ze swoją żoną, mgr farmacji Jadwigą Turkową, która w przebraniu wieśniaczym dostała się do wnętrza zakładu. Możliwe to było o tyle, że wewnątrz zakładu znajdował się tartak i za drobną zapłatę umożliwiano wylegitymowanym osobom wstęp. W tym miejscu zauważam, że kolega Tadeusz Turek od 3 lutego 1940 r. pełnił identyczne funkcje na drugim oddziale, jakie na pierwszym sprawował dr. Wacław Brodkiewicz. Sami strażnicy byli do brzo odżywiani, dbali o swój wikt, chowano dla nich świnie, urządzali bardzo często „świniołowia”, dobrze sakrapiane alkoholem. Zachowanie ich w stosunku do nas, jak już zaznaczyłem, w tym czasie było znośne. Miał styczność 1940 r. i w dniu 3 lutego 1940 r. nadszedł z Krakowa nowy transport, z więzienia przy ul. Montelupich, składający się z mniej więcej 80 osób. Przybyły nowe ofiary gestapowców. Dostaliśmy nowych kolegów, pomiędzy nimi przyszedł dawny więzień brzeski adwokat dr. Józef Putek



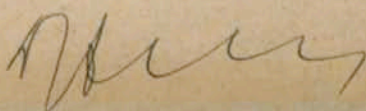
dawny wojewoda krakowski Michał Gnoiński, ksiądz prałat Józef Rychlicki, mistrz malarski Stanisław Żurawski, prof. teologii ks. dr. Marian Morawski, pułkownik sztabu generalnego Pietras, prof. gimn. dr. Adam Matuszek, prof. gimn. Jan Leśniak, prof. gimn. Wacław Babulski, prof. gimn. Józef Hajdukiewicz, bardzo wielu księży Jezuitów, między nimi: ks. Wiktor Macko ka, Piotr Turbak, ks. Adam Kozłowiecki, ks. Józef Cyrek, ks. Stanisław Podoliński, ks. Józef Krzyszkowski, redaktor Misji Katolickiej ks. Tadeusz Kamiński, brat zakonny Karol Hawełka i wielu kleryków, zakonu Jezuitów. Następnym transportem nadeszedł 15 marca 1940 r. w liczbie przeszło 100 osób. Wśród nich znajdował się sędzia Sądu Okręgowego w Krakowie Władysław Bobilewicz, wiceprokurator Sądu Okręgowego Jerzy Bienkowski, oraz mój dawny klient ar. Roman Starzycki, ostatnio lekarz w Katowicach. Potem nadeszły jeszcze dwa lub trzy transporty mniejsze z Tarnowa, między nimi znajdowało się kilku inżynierów z Mościc, ale ci już nadeszli prawie że w ostatnich dniach naszego pobytu w zakładzie więziennym w Nowym Wiśniczu. - - - - -

Wiosna 1940 r. zaczęła się późno. Po ciężkich przez kilka tygodni trwających mrozach tęskniliśmy wszyscy do ciepła, a jeszcze więcej do kąpieli. Zwolna zaczęło słońce co raz lepiej przygrzewać, rosły nasze nadzieje, że wnet skończą się nasze udręki. Zakres pracy rozszerzył się. Wszyscy musieli być zajęci. W stolarni, <sup>w</sup> której wyrabiano podczas zimy łopaty do zgarniania śniegu i masami je wywożono, robiono wcale piękne szafy i wykonywano cały szereg robót ciesielskich. Kierownikiem tych robót był dawny poseł z Piasta, Paweł Toczek. On to głównie ze swymi krewnymi z okolic Sanoka budował altany i dużą klatkę przy wejściu do zakładu więziennego, dla powstać mającego małego zwierzyńca. Marazie za naszych czasów znalazła się tam tylko sowa. W tkalni wyrabiano na wywóz płótno bardzo dobrej jakości i wiele go też autami wywieziono. W tejże tkalni pracował mój towarzysz więzienny, Władysław Kochanek. Właściwe kierownictwo fachowe spoczywało w ręku instruktora, który za polskich czasów był technicznym kierowni-

kiem tego działu. Bardzo dużo kolegów było odkomenderowanych do sprzętania kászer strażników oraz biur kancelaryjnych. Między innymi kolega dr. Bolesław Rozmarynowicz, profesorowie: Eugeniusz Drozdziowski, Franciszek Bielak, Rudolf Niemiec, Ludwik Stopka, Nykliński Antoni, Profesor Rudolf Niemiec obok tego spełniał ważną funkcję przy rozdziale paczek żywnościowych raz w tygodniu, najczęściej w sobotę. Były wojewoda krakowski <sup>Michał</sup> ~~Kikakaj~~ Gnoiński był telefonistą i miał największą styczność z komendantem obozu Asmusem i miał wobec tego bardzo często możliwość usłyszenia od tegoż rozmaitych uwag i poglądów wielko - niemieckich na świat. Kolega Józef Zych pełnił służbę pomocnika sanitarnego w tak zwanym rewirze i do niego należało opalanie sali ambulatoryjnej, bo o szpitalu we właściwym tego słowa znaczeniu nie było mowy. Jemu do pomocy był przez dłuższy czas przydzielony Leopold Hirsch, zmarły później w obozie koncentracyjnym w ~~Krakowie~~ <sup>Oświęcimiu</sup>. Od prac -ze tak powiem -zakładowych zwolnieni byli Stanisław Żurawski, Henryk Policht, i Tadeusz Korpala, którzy jako znakomici malarze i rysownicy, nagabywani i zachęceni przez wartowników i komendanta obozu, musieli prawie całymi dniami i wieczorami malować względnie rysować portrety i wizerunki ich samych i ich rodzin, a ponadto wyżej wymienieni nie szczędzili trudu i pozostawili po sobie cenne pamiątki w postaci portretów współwięźniów - malowanych czy rysowanych. Jak zaznaczyłem, z wioną zakres pracy o tyle się rozszerzył, że przybyła praca w ogrodach. Do tej pracy zaraz przeznaczono piętnastu, a z czasem powiększono tę liczbę do 35 osób. Należało do nich sprzętanie zaniedbanego obozu, zakładanie nowych grządek, kopanie względnie pogłębianie rowu przydrożnego, nawożenie gruntu pod uprawę jarzyn, polewanie wodą i nieczystościami pobranymi z dołu kloacznego -ogrodu przeznaczonego do sadzenia warzywa. Do wspomnianych robót wyznaczeni zostali przeważnie starsi wiekiem. Wśród nich znalazłem się i ja, a towarzyszymi mej pracy byli: katecheta gimnazjalny ksiądz prałat Józef Rychliński, literat prof. dr. Jan <sup>P</sup> Pietrzycki, sędzia Władysław Bobilewicz,



poseż dr. Józef Putek, rektor Akademii Górniczej inż. Jan Krauze, wity-  
tator Władysław Bryda, kierownik szkoły Stanisław Robek, rejent Adam  
Brzostyński, dyrektor "Ruchą" Stanisław Szeremeta, księża: prof. dr. Marian  
Morawski, Dębowski Kazimierz, Turbak Piotr, Cyrek Józef, Podoliński Stani-  
sław, Profesorowie: Rejnin Antoni, Janik Wincenty. Koledzy profesorowie  
dr. Adam Matuszek, Jan Leśniak, znakomici artyści robót inkrustowanych,  
przepracowywali się nad robotami artystycznymi zleconymi im przez  
wachmistrzów i komendę, a w szczególności wyrabiali piękne stoliki, wzglę-  
dnie płyty do szachów i rozmaite pudełka, nie szczędząc i dla nas bar-  
dzo dużo czasu, dzięki czemu niejeden z nas wywiózł piękną pamiątkę z  
tych czasów. Bardzo przykrą pracę mieli koledzy zajęci w pralni, między  
innymi Szuster Rudolf, Kibała Władysław, Zoszak Piotr. Praca ta była  
bardzo ciężka. Mało kto jedną kawał bieliznę do prania, albowiem nie  
było tam mydła i każdy wolał sobie przepracować bieliznę w celi, obawia-  
jąc się zamienienia bielizny albo, co gorsza, aby nie otrzymać bielizny  
z powrotem z wszami. Zamiatanie podwórza więziennego należało do mego  
serdecznego przyjaciela i współtowarzysza mojej wędrówki, kierownika  
szkoły Stanisława Robaka, i pułkownika dyplomowanego Pietrasa. Oni też  
prawie nigdy nie wypuszczali z rąk młotki. Podczas zimy należałem rów-  
nież do tej grupy i obok zamiatania śniegu rąbaliśmy cały dzień lód  
w rynsztokach. Była to praca w zasadzie zdrowa, lecz brakowało nam cie-  
plejszego odzienia, a jeszcze bardziej odżywienia. Mój niezapomniany  
przyjaciół Józef Przebinda pracował w ślusarni z kolegą profesorem  
gimnazjalnym Kazimierzem Fiołem - ciężko, przy rozbijaniu cwałków. Ów-  
mo moich perswazji - całą swoją energię wyładowywał w najcięższych ro-  
botach ślusarskich. Mając do tego zdolności robił dla kolegów, nieraz  
bez odpoczynku, rozmaite pamiątki z metalu ja-k: obrączki żelazne, krzy-  
żyki z blachy miedzianej z odpowiednimi napisami. Jestem w posiadaniu  
takiego krzyżyka, który musiał być zawsze dobrze schowany, a który stano-  
wi dla mnie cenną relikwię po nim. ~~Oni też~~ Koledzy oddawali ostatnią



przysługę zmarłym, jako tak zwani "Totengräber". - wykopując grób i grabiąc  
żeg ofiary, teroru hitlerowskiego. Ilekroć dozorca Michał Sojka zawołał:  
"Totengräber heraus" wiedzieliśmy, że zmarł znowu któryś z więźniów. -

Z wiosennego przydziału pracy byłem tym bardziej zadowolony, bo  
wielm z początkiem kwietnia 1944 r. przeniesiono nas z 2 celi nr. 28, na  
obszerną celę nr. 6, z pięknym widokiem na Nowy Wiśnicz. Równocześnie prze-  
niesiono kolegów z innych cel, także zajęliśmy trzy cele pod numerami:  
5, 6, 7, w których umieszczono nas w liczbie około 100. Przy tej okazji  
wspominał nam Sojka, że zazwyczaj w tych celach umieszczano więźniów,  
mających opuścić więzienie, czyli jak mówią "mających iść na świat"  
i dlatego tę część zakładu nazwano "naświecie". W celi numer 6, przeby-  
wali wówczas ze mną nieodłączni moi przyjaciele Stanisław Robak i Jó-  
zef Przebinda, a nad to dyrektor "Ruchu" Stanisław Szeremeta, literat  
dr. Jan Piętrzycki, adwokat dr. Tadeusz Turek, prof. Jan Bałbuszyński,  
Stanisław Jara, Paweł Dziuban, Stanisław Hess i Adam Różycki - razem  
czternastu. - - - - -

Muszę w tym miejscu wspomnieć, że prof. Jan Piętrzycki często u-  
przyjemniał nam wieczory, nie raz do późnej nocy wykładami i swymi  
wrażeniami z podróży po Włochach i Italii. - - - - -

Z przydziału do pracy pod gołym niebem byliśmy bardzo zadowoleni  
albowiem, na słońcu i świeżym powietrzu mogliśmy leczyć się z plagi  
czeraków, blednicy i reumatyzmu. Młodszy koleś usiłował korzystać  
z kąpieeli słonecznych, lecz ściąganie przy pracy grubych bluz więzien-  
nych i koszul zostało zakazane przez komendanta Asmusa, tak że nawet  
podczas największego upału musieliśmy pracować cały czas w bluzach.  
Zakaz powyższy został wydany przez komendanta Asmusa po wizycie  
pewnej liczby Niemek, które oglądały zakład, widziały nas pracujących  
w ogrodzie i wyraziły zdziwienie, jak mogą "nie wolnicy" tak swobodnie  
pracować. Zatrzymałem się przez chwilę przy osobie komendanta Asmusa.  
Był to mężczyzna wysokiego wzrostu i atletycznej budowy ciała. Chodził

*Asmus*

zazwyczaj uzbrojony w dubeltówkę, i potężny rewolwer i harap. Był to człowiek małomówny, mimo to był on inicjatorem wszystkich naszych udręczeń i poniżeń, których wykonawcami byli strażnicy Sojka, Rzepka Jan, pochodzący z powiatu bocheńskiego, następnie Maszner<sup>ch</sup>, Mader, oraz cała sfera "Selbstschutzów", a mianowicie: trzech braci Fröhlichów, pochodzących z Nowego Sącza, oraz często zmierzający się strażnicy policyjni. W miarę przybywania nowych więźniów władza Michała Sojki rozszerzała się. Stał się on właściwym naczelnym dozorcą, on odbierał raporty, a strażnik Jan Rzepka opiekował się oddziałem jednym, to jest moim, zwanym blokiem pierwszym, zaś drugim blokiem - Maszner<sup>ch</sup> i Mader, którzy mieli nadzór nad stukilkunastoma więźniami przywiezionymi w maju 1940 do więzienia dla odcierpienia kar orzeczonych wyrokami sądowymi. Byli to przeważnie więźniowie zasądzeni przed 1. IX. 1939r., a zwolnieni z więzienia z chwilą wybuchu wojny, oraz więźniowie przewiezieni z innych zakładów karnych, a zasądzeni już przez sądy niemieckie, za rzekome "zbrodnie" tego rodzaju jak tajny ubój, posiadanie radia, i t p. Tych więźniów traktowano w sposób nieludzki. Nie wolno było wychodzić im na powietrze, byli stale zamknięci, a Mader i Maszner<sup>ch</sup> torturowali ich przy każdej sposobności. Okrucieństwa tych ostatnich posuwały się do tego stopnia, że niejednokrotnie kazali swym ofiarom kłaść się na ziemi, sami skakali ze stołu na ich ciało. Z litości niejednokrotnie rzucaliśmy tym więźniom - ukradkiem przez okna - trochę chleba, którego sami nie mieliśmy pod dostatkiem - lub papierosa. Ciele w których umieszczeni byli ci nieszczęśliwcy, nazywano "celami kryminalnymi". Nazwa ta była nieścisłą i w wielu wypadkach krzywdzącą, albowiem wśród więźniów tych byli zasądzeni za posiadanie radia, tajny ubój, i za tym podobne "zbrodnie" w myśl poglądów narodowo-socjalistycznych. Na tym oddziale, który nie miał nic wspólnego z naszym oddziałem, śmiertelność była bardzo wysoka, a większość umierała na gruźlicę. Gruźlików, z otwartą gruźlicą, umieszczano w jednej celi. Pamiętam, że z jednego transportu więźniów politycznych

z Krakowa umieszczono w tej celi na tydzień, za karę, za ucieczkę z więzienia przy ulicy Montelupich, Brata Floriana, z zakonu Braci Albertów/lat 27/. Ten ostatni przebywał w obozie w Dachau. Do więzienia przybył on w towarzystwie byłego Brata Starszego, Zgromadzenia Braci Albertów - Wincentego/lat 66/, oraz Brata Serafina/lat 59/, którzy do- stawszy się następnie do Dachau przez obóz w Oświęcimiu, tamże zmarli. Jak wspominałem <sup>Agustus</sup> niejednokrotnie próbował swoich zdolności "dobrego strzelca". Strzelał on do figur osób świętych umieszczonych na zewnętrznej stronie kościoła więziennego, w stylu barokowym, bardzo dobrze utrzymanego, a pochodzącego z wieku XVI lub XVII-go. Strzelali także do tych figur Selbstschutze dla zabicia czasu, w dni świąteczne. Do ko- ścioła tego nie mieliśmy dostępu, a odprawienie mszy, nawet w czasie świąt Bożego Narodzenia, Wielkiej Nocy i Zielonych Świąt, było za- kazane. Prawie wszyscy byliśmy ludźmi wierzącymi i odczuwaliśmy po- trzebę modlitwy i słuchania mszy św. Tymczasem komenda obozu uniemożli- wiła nam wykonywanie jakichkolwiek praktyk religijnych, niedozwalając nawet na wstęp do kościoła. A jednak dzięki temu, że wśród nas znaleźli się prawdziwi kapłani - pełni poświęcenia i odwagi, danem nam było katolikom przeżywanie chwil, których żaden z nas z pewnością nie za- pomni nigdy. Niektóre cele więzienne stały się kaplicami. Wielkoduezni kapłani, rozumiejąc swoją wielką misję, opierając się na szwoleniu pa- pieskim, przesłanym im w drodze tajnej - sprytnie ukrytym na rogach pa- czek żywnościowych, nam dostarczanych - odprawiali często msze św. w ce- lach i zanosili do Boga bezkrwawą ofiarę na intencję naszego dobra. Nie mam słów na opisanie takiego wzniosłego nabożeństwa. Półmrok wię- zienny, silnie zakratowanych cel, czujki na straży przy wejściu, zwykły stół w miejsce ozdobionego ołtarza. Skromny obrazek świętego w miejsce świętej Relikwi. Zamiast pięknych szat liturgicznych, tylko szare ubranie więzienne. W miejsce kielicha, zwykły kubek aluminiowy, lub szklanka, mini- strantami koledzy "aresztanci" najczęściej kolega Ludwik Stopka, dr. Bolesław Rozmarynowicz i prof. Franciszek Bielak. Wszystko nastrajało tak,

164

że przeżywalismy go w głębokim uwielbieniu całe życie Chrystusa na ziemi. Każdy z nas stał więc w ubogiej stajence dokąd go wiodła gwiazda betlejemska, szła głośno i wyraźnie nauki Chrystusa, był z nim na Golgotie, pod krzyżem i patrzył na jego męki, a w modlitwie szukał i zawsze znajdował wzmocnienie do zniesienia tej twardej próby losu. Niezapomniałem te chwile, które dawały nam tyle emocji, że nie sądziłem się żaden a nie jeden dotychczas słaby w wierze, stawał się z każdym dniem co raz silniejszym. Do końca życia nie zapomnę tych czcigodnych kapłanów, którzy z narażeniem swego życia pozwalali nam przeżywać najwznieślejse chwile naszego życia, chociaż w tak okropnych warunkach. Te przeżycia zupełnie przygłuszały bunt naszych dusz, że jeszcze w dwudziestym wieku, my wyznawcy Chrystusa, zostaliśmy spędzeni do podziemia i że nie wolno nam jawnie w Domu Bożym, w podniosłym nastroju, chwalić najwyższego i dziękować za te cierpienia, które na nas zesłał i błagać o zwycięstwo sprawiedliwości i prawdy dla naszej ojczyzny. - - - - -

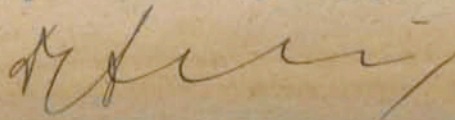
Pierwszą mszę św. w celi odprawił ksiądz prof. dr. Marian Morawski, następnie ksiądz Wiktor Macko, ksiądz prałat Józef Rychlicki, ksiądz Józef Maigier i ksiądz Kazimierz Dąbowski. W tym miejscu nie mogę pominąć bardzo ważnej funkcji, którą spełniał maszynista zakładowy Władysław Rajski. Był on przemytnikiem wina mszalnego i za jego pomocą udało się ta ciężka misja księży. Bez jego trudu i narażenia się na najgorsze konsekwencje nie dałoby się tego przeprowadzić. Czynił to z gorliwością dobrego katolika, rozumiejąc czym dla nas wszystkich była w tych warunkach msza św. i jak kapłani-więźniowie odczuwali święty nakaz Boży, którego nie mogli wykonać wobec dzikiej i bezmyślnej brutalności najeźdźców, który wszystko co święte deptali i usiłowali wyrwać z naszych serc. - - - - -

Płynęły dni i miesiące, a nic nie wskazywało na to abyśmy mogli odzyskać wolność, także zaczęliśmy się oswajać z tą myślą, że przyjdzie nam tam umrzeć, chociażby nawet naturalną śmiercią, z powodu ogólnego wyczerpania i niedostatecznego odżywienia, oraz bądź po bądź - wyczerpują-

*[Signature]*

cej pracy. Nic dziwnego, że zacząłem myśleć o sporządzeniu testamentu. Trudność polegała na tym, jak napisane rozporządzenia i podpisane przeze mnie własnoręcznie, przesłać do moich braci w Krakowie. Zgłosić się w kancelarii u komendanta obozu pracy Asmusa, z zamiarem spisania ostatecznej woli nie uważałem za wskazane, albowiem nie chciałem uprzytamniać komendantowi, że liczę się z tym, iż muszę zginąć w więzieniu. Z drugiej strony obawiałem się, ewentualnej represji z tego powodu, że pisząc testament mam zamiar oskarżyć pośrednio organ nadzoru o takie postępowanie względem nas, że z góry liczymy się z niemożliwością odzyskania wolności i ze śmiercią. Nie poszedłem więc do komendanta, chociaż do tego namawiał mnie „nieдостatecznie zorientowany kolega, mówiąc, że gdy zgłoszę się w kancelarii - odzyskam na pewno wolność, albowiem pochodzę z rodziny austriackiej. Koledze temu wytłumaczyłem, że urodzony i wychowany na ziemi krakowskiej, umiżowałem godność narodową polską, że wolę zginąć niż splugawić swoje imię i nazwisko i narazić na wstyd i hańbę moją rodzinę. Pewnie niejednokrotnie ów kolega przypominał sobie moje stanowisko w tej sprawie, co do którego, jako Polak nie mógł mieć żadnych wątpliwości, - ponieważ uważałem, że <sup>nie</sup>godną było rzeczą przypominać sobie, skąd babka, lub dziadek ~~powychodzi~~ - celem uzyskania dla siebie korzyści materialnej, a nawet dla ratowania życia czy zdrowia. Sprawę testamentu uważałem za stokroć ważniejszą i realniejszą i dlatego, przy pomocy kolegi B. Rozmarynowicza i organizacji, o której wyżej wspomniałem, moje rozporządzenie ostatecznej woli, z daty 7-go kwietnia 1940 r. spisane w więzieniu w Nowym Wiśniczu dostało się do rąk moich braci i jest obecnie w moim posiadaniu w kopercie zamkniętej i nienaruszonej. - - - - -

Na pytanie, czy ktoś z naszych kolegów usiłował z obozu pracy w Nowym Wiśniczu ratować się ucieczką, odpowiem twierdząco. Z wiosną 1940, z końcem marca, lub początkiem czerwca, zbiegło dwóch młodych więźniów, których bliżej nie znam. ~~xx~~ Ślad za nimi zaginął, a doszły nas potem słuchy, że udało im się zbiec do Warszawy. W związku z tym ogłoszono nam





że jeżeli który z nas spróbuje zbiec, natemczas zostanie rozstrzelanych dziesięciu więźniów. Przyjęliśmy to oświadczenie /ostrzeżenie/ do wiadomości w tym głębokim przeświadczeniu, że żaden z nas zwłaszcza z tych, którzy pierwsi dostali się do więzienia w Nowym Wiśniczu nie zrobi tego. Zdawaliśmy sobie sprawę, że ucieczka będzie po prostu morderstwem na pozostałych kolegach i pogrążymy w głębokim smutku i tak już ciężko dotknięte rodziny. Wszyscy my starsi byliśmy swoich pewni i liczyliśmy stanowczo na nasze rychłe zwolnienie, ponieważ wszyscy byliśmy bez "grzechu". W dniu 15-go maja 1940 r. nadszedł znów z Krakowa dalszy transport więźniów politycznych, składający się z kilkudziesięciu osób. Nie wiem, ale przypuszczam, że ci z tego transportu również zostali pouczeni o strasznych skutkach nawet usiłowanej ucieczki. W dniu 27-go maja 1940 r. -mniej więcej około godziny 10-tej - zbiegł /podczas roboty na zewnątrz zakładu/ z roboty zresztą bardzo lekkiej: oszinienie gałęzek z wyrąbanych drzew, więzień z tej grupy, nieznan mi bliżej - niejaki Krzykacz, pochodzący podobno z Krakowa. Jakkolwiek jestem rodowitym Krakowianinem, z tym nazwiskiem nie spotkałem się nigdy - być może, że był to jego pseudonim. Spędzono nas natychmiast do cel i zarządzono energiczny pościg za zbiegiem, przy pomocy wszystkich pozostających do dyspozycji środków, a więc koni i motocykli. Pościg nie dał żadnego rezultatu. Nie dowiedzieliśmy się, czy ten nieszczęśliwy Krzykacz uratował swoje życie i czy ono było tak cenne, że za nie musiało zginąć dziesięciu, względnie jedenastu więźniów -skądinąd cenionych i poważanych. Zginęli jak męczennicy, zginęli przedwcześnie, ale zgodnie z wolą Bożą, bo dla nich nie było nadziei wyjścia z życiem z tej opresji, w której się znajdowali. Skrócono im udętki w bestialski sposób, ale to nie było celem zbiegłego Krzykacza. Jemu chodziło jedynie o własne życie, a nie o życie kolegów. Być może, że nad tym się nie zastanawiał, a może nie słyszał ostrzeżenia, a może wreszcie nerwy odmówiły mu pokuszeństwa i instynkt samozachowawczy popchnął go do tego kroku. Dlatego, trudno osądzić po-

stęppek zbiegłego Krzykacza, sąd nad nim musi być odroczone, aż do sądu ostatecznego, bo nikt z nas osądzić go nie może bez jego wysłuchania. -----

W związku z tą ucieczką łączy się także morderstwo, popełnione na osobie więźnia dra Romana Starzyckiego, lekarza z Katowic, który zaledwie od 15-go marca 1940r., znajdował się w naszym obozie pracy, a swego czasu został koło Baligrodu, w czasie swego powrotu do kraju z ucieczki, w związku z posiadaniem waluty obcej, przytrzymany. Otóż, na alarm z powodu ucieczki Krzykacza, musieliśmy wszyscy więźniowie biegiem udać się do swych cel, przerywając nasze roboty. Nieszczęśliwy dr. Roman Starzycki spóźnił się trochę z powrotem do celi. Przychwycony przez strażnika Jana Rzepkę, będącego w towarzystwie Maschnera i Madera, już po wejściu do zakładu więziennego, został przez niego rzucony z całej siły na kamienną posadzkę i przez niego zastrzelony. Oprawcy zawlekli go następnie do ciemnicy i tam leżał przez dwa dni. W trzecim dniu wywieźli go razem z dwoma trupami zwykłych więźniów, na wozie fornalskim, do lasku znajdującego się obok zakładu i tam go pogrzebali. Przykra zaszkła także przy wywiezieniu jego zwłok scena. Jeden ze strażników - dzisiaj już nazwiska nie pamiętam - zwrócił się do fornala, który pełnił służbę w zakładzie przy koniach, aby sobie zdjął buty ś.p. dra Romana Starzyckiego. Ten odmówił, podnosząc, że skoro w butach umarł, niech będzie w butach pochowany. Podnoszę to na chwałę polskiego chłopca, który będąc w bieżącej, umiał ocenić majestat śmierci i swoją godność osobistą i nie zbrudził swoich rąk, mimo zachęty ze strony zdrajcy narodu. Złakomiał się na te buty, niestety, nasz kolega więzienny niejaki Unger, który zdjął te buty, a być może uczynił <sup>to</sup> ze strachu, aby go strażnik nie pobił. Fakt ten <sup>nie</sup> przyniósł mu szczęścia i niedługo w tych butach chodził, albowiem on właśnie znalazł się w tej dziesiątce, która zginęła z rąk zbirów. Nie wiem, czy to kara Boża, czy podstęp

i dalsza zdrada któregoś zdrajcy narodu, wprowadziła go następnie w te nieszczęśliwe szeregi, które musiały dać swe życie za wyczyn Krzykacza. Wszyscy, a specjalnie ja byłem bardzo wzruszony tą tragiczną gwałtowną śmiercią mego dawnego klienta, który z pewnością, będąc bardzo wątłego zdrowia i tak nie oglądałby wolności. Fakt takiego bestialskiego morderstwa, a następnie fakt, że karta pośmiertna podpisana przez lekarza dra Himmelbacha, że Unger zmarł śmiercią naturalną /zapalenie płuc/, ogromnie mną wstrząsnęła. Nie od rzeczy będzie wspomnieć, że wdowa po ś.p. Starzyckim nie otrzymała żadnego zawiadomienia o śmierci męża. Dopiero na kilkakrotną prośbę o podanie bodaj adresu pobytu jej męża, zawiadomiono ją z ul. Pomorskiej, że mąż został zastrzelony, z powodu chęci ucieczki, co było wierutnym kłamstwem. Rodziny nie zawiadomiono dlatego, aby nie wykryto od razu bestialskiego morderstwa, gdyby ta zażądała wydania zwłok.

Przez pierwsze dni po tym tragicznym wypadku żyliśmy w niepokoju, kto z nas przypłaci życiem krok Krzykacza i w jaki sposób zostaną wyznaczeni na śmierć koledzy-wieśniowie. Przeszło kilka dni spokojnie. Zaczęliśmy się pocieszać, że może tak tragiczna śmierć ś.p. Romana Starzyckiego będzie dla gestapowców dostateczną ekspiacją za nieobliczalny czyn człowieka, zdaje się ogromnie zrozpaczonego i zdecydowanego na wszystko. Pracowaliśmy dalej spokojnie w ogrodzie i przy swoich warsztatach pracy, aż do dnia 4 czerwca 1940r. W tym dniu po pracy około godziny 5-ej wywożano a następnie umieszczono w osobnej celi następujących dziesięciu kolegów: Sędziego Sądu Okręgowego w Krakowie Władysława Bobilewicza, wiceprokuratora Sądu Okręgowego w Krakowie Jerzego Bienkowskiego, ks. Ferdynanda Machaja, ze zgromadzenia Ks. Filipinów w Tarnowie, Jerzego Libana porucznika rezerwy W.P., następnie trzech powstańców z Górnego Śląska, a mianowicie Kanię i dwóch braci Pistulów, oraz niejakiego Kränzlera, Ungera i Wachsa. Po wywożaniu wyżej podanych odeszwał się Mader do księdza Ferdynanda Machaja: "Teraz będziesz komendantem na innej

celi." Nie uważaliśmy tego za coś nadzwyczajnego, bo często zmieniano skład osobowy w poszczególnych celach. Wywołani poszli do cel, zabrali swoje rzeczy i ulokowali się w innej celi, której numeru dzisiaj nie pamiętam. W każdym razie cela ta znajdowała się na parterze w budynku więziennego, nie daleko od celi, w której ja przebywałem. Mniej więcej między godziną 3-cią, a 4-tą rano następnego dnia, t.j. 8-czerwca. /zazwyczaj już od godziny drugiej nie spałem/ - usłyszałem stuk silnie podkutych butów, zgrzyt kluczy, trzask zasuw drzwi więziennych i stępanie kilku osób. Zrazu sądziłem, że to nowy transport więźniów - to jednak było nieprawdopodobne z uwagi na wczesną porę dnia. Za chwilę powtórzyło się to samo i potem nastąpiła grobowa cisza. Zbliżyła się godzina pobudki wstawania, i rozdawania kawy. Byliśmy bardzo zdziwieni, gdy po śniadaniu nie wzywano nas do żadnej pracy, lecz zamknięto z powrotem w celach. Dopiero po południu o godz. 1-iej stanęliśmy do apelu i do pracy. Do apelu nie zgłosiło się 10-ciu wyżej wymienionych kolegów. Tym faktem byliśmy bardzo zdziwieni i nie mogliśmy zrozumieć ich zniknięcia., lecz nikt nie miał odwagi, ani możliwości zapytać co się z nimi stało i gdzie się znajdują. To samo było na drugi i trzeci dzień. Nikt z wtajemniczonych nie mówił co się z nimi stało, zwłaszcza, że komendant obozu względnie jego zastępca - Włoka / komendant w tym czasie wyjechał na krótki urlop/ - nie ogłosił, że wykonano wyrok, którym zagrożono w razie ucieczki więźnia. Zaczęliśmy się jedynie domyślać, co mogło się stać z tymi kolegami. Niektórzy z nas, a zwłaszcza kolega Dr. Putek, utrzymywali uparcie, że ci 10-ciu, których wybrano, zostali wywiezieni do innego obozu. Putek podawał nawet przypuszczalne miejsce ich dalszego pobytu, a mianowicie - Tarnów, względnie Radom., - lecz opierał się tylko na przypuszczeniu. Ja natomiast zacząłem zbierać wszelkie poszlaki w kierunku wskazania, że więźniów tych zamordowano. Przedewszystkiem wstrzy-

manie nas od robót przed południem, w dniu 5 czerwca 1940 r. nastąpiło niewątpliwie z tego powodu, że "selbtschutz" z Maschnerem, Maderem, Sojką i Rzepką na czele zapijali w tym dniu "robaka" sumienia wódką. Po potwornej - godnej oprawców zbrodni byli oni strudzeni wczesnym wstaniem, oraz zmęczeni i wyczerpani widokiem męk i krwi niewinnych ludzi nad którymi się pastwili. Wedle przechwałek Madera i Machnera pastwili się oni zwłaszcza nad księdzem Machayem, którego Mader chorobliwie nienawidział, a którego /Madera/ "vox populi" oskarżał o najczynniejszy udział w tej potwornej zbrodni. że oni byli sprawcami tego mordu, dalszym dowodem jest fakt, że zabrali nam niektórym, pracującym w ogrodzie, łopaty, których w tym dniu daremnie szukaliśmy, a na drugi dzień znaleźliśmy je zabłocone gliną. Na tej podstawie przypuszczam, że strażnicy używali tych łopat do kopania dołu i pochowania zwłok, w parowie w lasko koło zakładu więziennego. Zaznaczam, że zazwyczaj zmarłych chowano w innym miejscu, Brak świeżych grobów w zwykłym miejscu utwierdzał niektórych z nas w przekonaniu, że koledzy nasi nie zostali jednak zamordowani. Argument ten wysuwał niejednokrotnie, kolega dr. Putek. Nadmieniam, że równocześnie z nami w zakładzie więziennym przebywały trzy kobiety, a mianowicie: P. Uhlowa, Stańkówna i Wiktorówna. Okna ich celi wychodziły na ogród i koło tych okien, właśnie musiało się przechodzić, chcąc dostać się do lasku, względnie parowu znajdującego się w lesie, a odległego od zakładu o trzysta do czterystu metrów. Pewnego dnia, a było to po 5-tym czerwca/1940 r./, w czasie naszej pracy w ogrodzie, t.j. przy wyciąganiu nieczystości z dołów kloaznych i polewaniu ogrodu, jedna z tych pań, którą, tego nie pamiętam - opowiadała niektóre szczegóły dotyczące stracenia tych dziesięciu więźniów. Mówiła ona, że najpierw prowadzono pięciu, związanych, a następnie znowu pięciu. Zgadzało by się to z tym, że jak słyszałem w nocy dwukrotne wychodzenie kilku osób. Następnie podała, że kobie-

ty przechodzące nad ranem do miasta, drogą obok zakładu ~~muzyk~~ mówiący na odgłos strzałów w lesie „że” znowu komuś dogodzili”. Wiarygodność tych zapodań była dla mnie zupełna, jakkolwiek kolega dr. Putek skłaniał się do przypuszczenia „że opowiadania te mają podkład historyczny. Wydawało mi się nieprawdopodobnym, by ofiary wywiezione w mundurach aresztanckich i w ten sposób uszczuplono inwentarz więzienny. Za pośrednictwem kolegi więziennego Stanisława Jary, zatrudnionego w magazynach więziennych, stwierdziłem, że ubrania zaginionych więźniów, a w szczególności sędziego Władysława Bobilewicza i prokuratora Andrzeja Bienkowskiego, leżą jak zwykle na wyznaczonych miejscach. Po kilku dniach, kiedy zauważyłem, że niektórzy „Selbstschutze” wnoszą z zakładu jakieś walizki, wróciłem się ponownie do Stanisława Jary z prośbą, aby zbadał, czy rzeczy po zaginionych są nadal na swoich miejscach. Tego samego dnia Jara zawiadomił mnie, że rzeczy tych już tam nie ma. Było dla mnie wtedy jasnym, że „Selbstschutze” rzeczy po zaginionych po prostu skradli. Z każdym dalszym dniem nabierałem co raz to większej pewności, że w dniu 5-go czerwca 1940, nad ranem, między godziną 3 a 4-tą rozegrała się w lesku w parowie około zakładu wiśnickiego - straszna tragedia, a raczej bestialski mord, dokonany na dziesięciu niewinnych Polakach, którzy sginęli z rąk siepaczy, tylko dlatego właśnie, że byli Polakami i że spełniali względem ojczyzny swój obowiązek i że służyli jej wiernie i z pełnym poświęceniem. - - - - -

Zastanawiałem się dalej nad tym, w jaki sposób ustalono, tragiczną dziesiątkę, dlaczego właśnie dokonano selekcji tych, którzy zostali zamordowani, a nie innych. Zastanawiając się nad tym pytaniem, które swego czasu zadał mi kolega Putek, zbierałem <sup>w</sup>myśli nocą, wszystkie wiadomości, które doszły do mnie - dla ustalenia podstawy tego potwornego wyroku, a raczej samosądu, względnie bestialskiego mordu. Punktem wyjścia moich rozważań była nader cenna wiadomość od współwięźnia, prof. Ludwika Stopki, który przy pewnej okazji w kancelarii

więzienia przy ul. Montelupich, widział spis wszystkich więźniów według cel, a więc także listę obejmującą więźniów, znajdujących się w celi nr. 45./dawna kaplica więzienna/Zastanowił go fakt, że na naszej liście nie było, przy poszczególnych nazwiskach, żadnego szczególnego znaku, zaś na listach, obejmujących więźniów z innych cel, - przy niektórych nazwiskach, - był znak krzyża, lub było kółko. Doszedłem do przekonania, że krzyżyk oznaczał przeznaczenie danej osoby na śmierć, kółko - zwolnienie. Osoby bez oznaczenia miały pozostać w więzieniu, jako obojętne. Zastanowiło mnie to, że wdziesiątce rozstrzelanych, a właściwie zamordowanych, nie znajdował się żaden kolega z celi nr. 45, a więc z listy na której nie było żadnego nazwiska oznaczonego krzyżykiem. Zastanawiałem się dalej nad tym, czy pomordowani zasługiwali, w pojęciu krwiożerczego gestapo, na oznaczenie krzyżykiem, czyli na śmierć. Znajac dokładnie historię aresztowania niektórych z nich, oraz przyczynę uwięzienia, doszedłem do przekonania, że ofiary tego mordu były już z góry - jeszcze w Krakowie, przeznaczone przez gestapo na śmierć i że byli oni kandydatami na śmierć stracenia. - - - - -

Obecnie spróbuję podać szczegóły odnośnie do większości straconych w tym dniu, współwięźniów, celem wykazania, że moje rozumowanie jest prawdopodobne. Zanim do tego przystąpię muszę dla lepszego wyjaśnienia moich spostrzeżeń zająć się osobnikiem, który do niedawna jeszcze był postrachem, jeżeli nie całego Krakowa, to w każdym razie dzielnicy - Podgórze - w której mieszkam. Jest nim osławiony: **G u s t a w B e c k m a n n**. Urodził się 23 grudnia 1922 w Solingen /Niemcy/, jako syn Gustawa i Marii Behr. W Krakowie przebywał od roku 1934. Zrazu mieszkał przy alei Słowackiego nr. 43, a następnie na Podgórzu, przy ulicy Wiłokowa 2 w Willi, będącej własnością, zmarłego w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, w dniu 20 stycznia 1942 r. <sup>Bronisława</sup> śp. mgra farmacji Belesława Piętoskiego. Beckmann był początkowo

majstrem x w fabryce inż. Mauricego Freudlicha, a następnie udziałowcem firm "Toledo" i "Chromstal". Był on silnej budowy ciała, wzrostu średniego. Jego nazwisko, wygląd i środowisko w którym przebywał wskazywało raczej na to, że jest żydem, względnie neofitą. Sam podawał, że jest wyznania protestanckiego. Językiem polskim nie władał. Zwolna dorabiał się on majątku. Po wybuchu wojny zdołał on wykupić udziały swoich <sup>w/</sup>spółników, rozpoczął dostawę żyłetek dla wojska. Większa zaś część jego majątku pochodziła z grabieży własności polskiej i żydowskiej, tak, że wnet ze skromnego majstra fabrycznego przerobił się w wielkiego - przynajmniej w jego pojęciu, fabrykanta żyłetek. Mieszkanie jego było urządzone luksusowo. Mając dużo gotówki i inne możliwości, nabył od gminy miasta Krakowa, dawne boiska klubu sportowego "Korona", na Krzemionkach i założył na nim piękne ogrody. Znajdujący się obok ~~boiska~~ jednego z boisk niewykończony budynek /budowę rozpoczął dawny "Strzelec"/przerobił z wielkim przepychem, jednak w mieszanym stylu niemieckim. Beckmannowi powodziło się w Krakowie bardzo dobrze. Miał on do dyspozycji auta, a Polacy pracowali u niego jak niewolnicy, czy to w fabryce, czy poza fabryką, nie raz podczas wielkich mrozów. Przy budowie willi zajęci byli przeważnie więźniowie, ~~przeważnie~~ z więzienia Sądu Okręgowego w Krakowie. Więźniów tych Beckmann traktował brutalnie, bił ich i kopał do krwi, przeklinał i wyzywał najordynarniejszymi słowami. Był dla nich panem życia i śmierci. Było dla mnie zagadką, na jakiej podstawie osoba prywatna mogła dysponować więźniami. Domyśliłem się jednak nie bez pewnych podstaw, że Beckmann był u władz niemieckich, a zwłaszcza u gestapo "persona grata" i to już zapewne od roku 1934, kiedy to był jeszcze tylko skromnym majstrem fabrycznym. Wniosek z jego późniejszej działalności przypuszczam, że on w tym czasie spełniał w Krakowie funkcję szpiega. <sup>był</sup> Chociaż ~~był~~ fanatykiem hitleryzmu, jednak obracał się wśród żydów, dla zmylenia czujności, a ci dopierali go. Skoro znalazł się w więzieniu w Krakowie, w związku ze sprawą



o której będę pisał poniżej, Żydzi złożyli za niego kaucję, celem wypuszczenia go na wolność. Obroncą jego był adwokat żyd., przybrał a przybranie obrońcy Żyda ze strony Beckmanna było uczynione nie wątpliwie w celu zamaskowania się. Zakrycia oblicza perfidnego wroga, pałającego nienawiścią do wszystkiego co polskie, czekającego na moment w którym będzie mógł zrzucić tę obłudną maskę. Wzrósł się 1939 r. dał mu doskonałą okazję do pokazania wszystkim, później kim był właściwie. Okazało się, że był dygnitarzem partyjnym i że stał<sup>w</sup> bliskich stosunkach z gestapo. Gestapowcy byli prawie codziennymi gośćmi w jego domu, a przyjmował ich wnieścinnie i wystawnie. On to w roku 1941, ofiarował oddziałom SS proporzycy. Z tej okazji odbyła się na Podgórzu uroczystość z udziałem orkiestry i Beckmann odebrał defiladę. Celem strzeżenia Beckmanna w dzień i w nocy przydzielono trzech granatowych policjantów, którym może zawdzięczać że nie dosięgła go karząca ręka organizacji. W lipcu 1944, jego żona, wraz z dwojgiem dzieci, wyjechała z Krakowa, on zaś widząc, że godziny reżimu hitlerowskiego i godziny jego życia są policzone - uciekł potajemnie z Krakowa, w listopadzie 1944 r. O zamiarze ucieczki nie wiedział nikt, a nawet fryzjer Beckmanna, Stefan Hajduga/Legionów 8/, przed którym często wywnętrzał się, bez obawy poderżnięcia brzytwą gardła. Wozy meblowe z firmy pochodzącej z Passau, pozwoliły mi przepuścić, iż uciekł on w tamtą stronę i rzeczywiście uciekł on - jak do wiedziałem się od współwłaściciela fabryki, w której Beckmann prowadził swoją fabrykę żyłek - do Tittling - Markt, via Passau w Bawarii, które leży na pograniczu Górnej Austrii. Tam też zapewne dosięgnie go ręka sprawiedliwości, gdyż obecny adres podałem do wiadomości odpowiednich czynników. - - - - -

Wyżej wspomniane kłótnie między tymi dwoma osobami, które miały miejsce 21 maja 1938 r. na al. J. Słowackiego w Krakowie, podczas

której Beckmann wyraził się: "zasraną polską mową nie mówię". Za czyn ten pociągnięty do odpowiedzialności karnej stanął przed sądem okręgowym w Krakowie, w osobie sędziego Władysława Bobilewicza, oskarżony o występki z art.152 Kodeksu Karnego, popełnionego przez to, że wyszydził Naród Polaki, a w szczególności w ten sposób obelżywy wyraził się o mowie polskiej. Wyrokiem sądu okręgowego w Krakowie, z dnia 3 września 1938 do liczby czynności IV 545/38, wydanym przez sędziego Władysława Bobilewicza, został zasądzony za występki z art.152 K.K. na karę więzienia przez jeden rok. Na końcowej głównej rozprawie, na której występujący z ramienia prokuratury sądu okręgowego w Krakowie, prokurator wiceprokurator Andrzej Bienkowski, zgłosił wniosek o zastosowanie tymczasowego aresztu co do zasądzonego Gustawa Beckmanna, z uwagi na możliwość jego ucieczki /jako obcokrajowca/. Wniosek powyższy został przez sędziego sądu okręgowego dr. Władysława Bobilewicza przyjęty i Gustaw Beckmann został przy rozprawie, względnie po ogłoszeniu wyroku, osadzony w areszcie tymczasowym. Na skutek zażalenia ze strony skazanego, sąd okręgowy w Krakowie złożył ten środek zapobiegawczy na kaucję w kwocie 25.000 złotych. W sprawie samej Gustaw Beckmann niezadowolony z wyroku wywiódł apelację, przez adwokata dr. Józefa Woźniakowskiego. W tym miejscu zaznaczę, że obrońcą Gustawa Beckmanna w pierwszej instancji był adwokat dr. Wilhelm Immerglück, zaś kaucję za Gustawa Beckmanna złożył Gorazej Klocmann. Na rozprawie apelacyjnej, w dniu 20 marca 1939, rozpatrywał sprawę sędzia sądu apelacyjnego Konrad Franckiewicz, zaś oskarżenie <sup>popierał</sup> wiceprokurator sądu apelacyjnego Jerzy Marcinkowski. Sąd apelacyjny, wyrokiem z tego dnia, do liczby czynności I KA 29/38, wyrok pierwszej instancji zatwierdził i równocześnie uchylił kaucję, a zastosował znowu areszt tymczasowy co do Gustawa Beckmanna, z uwagi na możliwość jego ucieczki. Od tego wyroku założył Gustaw Beckmann kasację i wywód kasacyjny wniósł za pośrednictwem swego pierwszego obrońcy, adwokata dr. Wilhelma Immerglücka, który atoli wywiezioną już kasację, w dniu 31 maja 1938 cofnął, tak, że gorące ostatnie dni sierpnia 1939, zastały Gustawa

wa Beckmanna w więzieniu św. Michała przy sądzie okręgowym karnym w Krakowie, skąd władze bezpieczeństwa, na parę dni przed wybuchem wojny, wywoziły go do obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej, skąd zwolniły go wojska niemieckie. Gustaw Beckmann wrócił do Krakowa i rozpoczął swą krwiożerną działalność, mszcząc się za wszystkie "krzywdy", jakich doznał na ziemi polskiej. -----  
Zemścił się przede wszystkim na sędziim sądu okręgowego dr. Władysławie Bobilewiczu i prokuratorze Andrzeju Bienkowskim w ten sposób, że współdziałał przy ich aresztowaniu, dokonywał rewizji w ich mieszkaniach rzekomo w poszukiwaniu za bronią, własnoręcznie ich bił i katował, odwiedzając ich nawet we więzieniu przy ul. Montelupich, dokąd zresztą bardzo często z gestapowcami zaglądał i naczem opierał przypuszczenie, że był ich agentem. Zbił i skatował na śmierć sędziego sądu apelacyjnego Konrada Fronckiewicza, w dniu 27 grudnia 1939, w więzieniu przy ul. Montelupich, pastwiąc się nad nim już w chwili jego aresztowania w mieszkaniu, przy którym również brał udział. Uniknął straszego losu, współdziałający w wymiarze sprawiedliwości wiceprokurator sądu apelacyjnego Jerzy Marcinkowski, tylko dlatego, że z awansu z Krakowa uciekł. Zginął z jego ręki, jak się sam Beckmann przechwalał wobec śp. Bronisława Piętowskiego, oficer Policji polskiej, który nim się zaopiekował w czasie wybuchu wojny. Niebędzie także dalekie od prawdy twierdzenie, że adwokat dr. Józef Woźniakowski znalazł się <sup>przez</sup> jego donosowi w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, w którym zginął śmiercią męczeńską<sup>W</sup> 1943 r. z końcem października. On to został swego czasu zmuszony przez Gustawa Beckmanna, do zwrotu wypłaconego honorarium za obronę i czując do niego nieuzasadniony żal postarał się o to, aby ten człowiek, który w wypełnieniu swego obowiązku, jako obrońcy włożył wielką pracę i wiedzę - zginął tylko dla zaspokojenia dzikich instynktów Beckmanna. Na swym pierwszym obrońcy, nieobecny w Krakowie dr. Wilhelmie Immerglücku pomógł się tylko w ten sposób, że zrabował mu całe mieszkanie i ofiarował je swej kochance. Nie uniknął losu tragicznego jego dawny gospodarz śp. Mgr. Bronisław Piętowski, który

musiał zginąć w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu, w dniu 22 stycznia 1942. Miał on bowiem z Gustawem Beckmannem drobne zatargi na tle mieszkaniowym, Odradzałem mu rozpoczęcie jakiejkolwiek kampanii z tym człowiekiem. Niestety s.p.mgr.Bronisław Piętoski nieusłuchał moich ostrzeżeń i w krótkim czasie znalazł się w obozie. Przyjmuję za rzecz pewną, że to sprawa Gustawa Beckmanna, który nie znosił najdrobniejszego oporu, lub niezadowolenia ze strony Polaków, chociaż to niezadowolenie było wypływem krzywdy, wyrządzonej przez niego. -----

W tym naświetleniu jasnym jest, że śmierć sędziego sądu okręgowego, dra Władysława Bobilewicza i wiceprokuratora Andrzeja Bińkowskiego jest aktem zemsty ze strony Gustawa Beckmanna. -----

Zginął w tej dziesiątce ks.Ferdynand Machay, młody ksiądz zakonny, pełen świątobliwości, dobroci i gorący patriota. Jemu zarzucali gestapowcy, że wedle rzekomego donosu pielęgniarki Niemki, miał przy spowiedzi nakłaniać ludzi do buntu przeciwko Niemcom. Niemcy wywieźli tajemnicę spowiedzi, kłali przy tym, ale swój cel osiągnęli. Zamordowali księdza Polaka, znienawidzonego przez nich. Zmarł on w okropnych cierpieniach, bo klęczącego i przygotowującego się na śmierć "pożarły po prostu bestie w ludzkim ciele", w osobach Maschnera, Madera i innych, które po tym w czasie pijatyk przechylały się bestialskim pastwieniem nad osobę duchowną. -----

W pojęciu gestapo niewątpliwie ks.Ferdynand Machay zasługiwał na niejedną krzyżkę. Zniósł ten krzyż mężnie, przelewając krew za wiarę świętą i stał się godnym następcą swych poprzedników, którzy za wiarę szli spokojnie na śmierć, wiedząc o tym, co mu zarzucali gestapowcy, nie wahałem ani na chwilę przyjąć, że i on był przeznaczony już w Krakowie na śmierć. Zginęli w tej dziesiątce, śmiercią bohaterską trzech męczenników narodowi ze Śląska: dwaj bracia Pistulowie i Kania. Tym znowu zarzucali, że brali udział w powstaniu śląskim. Odwaga i gorąca miłość ojczyzny była wielką zbrodnią w oczach "kulturträgerów". -----

Znalazł się w tej grupie Jerzy Liban, syn mego znajomego Jana

Libana, przemysłowca z Krakowa, porucznik rezerwy wojska polskiego. Jego aresztowano, ponieważ upominał się, po wkroczeniu Niemców do Krakowa, w mieszkaniu swych rodziców, u majora niemieckiego o kosztowną futrzaną pelerynkę, którą ten zdobywca Krakowa uważał za wskazane zaoferować swej przygodnej przyjaciółce. Dotknięty śmiałością właściciela ów major spowodował aresztowanie Jerzego Libana, z powodu ciężkiej obrazy, uczynił to tym łatwiej, że Jerzy Liban należał do rasy przeznaczony przez Niemców, na całkowite zniszczenie. Musiał więc on stanąć w szeregu tych dziesięciu, z pewnością obciążony krzyżykiem, przez tego zdobywcę Krakowa i budowniczego nowej Europy. Na liście znaleźli się jeszcze także żydzi: Kränzler, Unger i Wachs, których bliżej nie znałem i nie znane mi są "grzechy", ale musieli je mieć, skoro oni zginęli, a nie inni będący z nami, gdyż nie przypuszczam, by ta okoliczność, iż byli w jednej celi z Krzykaczem, była wyłączonej przyczyną ich zagłady. - - - - -

Nie mogąc sobie wytłumaczyć dlaczego nie oznajmiono nam procedury jaką zachowano przy przeznaczaniu na śmierć owych dziesięciu, dlaczego nie podano nam w ogóle do wiadomości, że taka krwawa represja została wykonana, a dalej, że zastępca komendanta Blaka wprost zaprzeczał jakoby jakakolwiek represja w stosunku do owych dziesięciu wykonana została, twierdząc, że zostali oni wywiezieni do innego zakładu, przyjmuję tezę, że śmierć wyżej wymienionych nastąpiła tylko pod pretekstem ukarania ucieczki więźnia Krzykacza. Przy jednym ogniu upiekli Niemcy dwie pieczenie: raz wykonali z góry jeszcze w Krakowie powzięte postanowienie, po drugie dali nam przestrozę i odebrali ochotę do dalszej ucieczki. Gdyby celem tego mordu było tylko ukaranie nas za ucieczkę Krzykacza, niewątpliwie byłaby to komenda ogłosiła, a nie robiłaby z tego tajemnicy i zawiadomiłaby rodziny, aby te zwłoki pochowały, a nieuczyniono tego dlatego, bo się wstydzono tego bestialskiego mordu, jeśli wogóle o wstydzie u tych ludzi można było mówić. - - - - -

Dalsze nasze życie płynęło całkiem monotoniem. Praca przyszkuszała okropne wrażenie. Zwolna zaczęliśmy się uspakajać, co raz rzadziej myśleć



nia i splugawienia pięknego kościoła, sądząc zapewne, że w ten sposób buduje wielkie Niemcy. Był wtedy pewny siebie i z pogardą patrzył na nas, słabych i bezbronnych. Mnie więcej trzy dni dręczono nas moralnie, przy tej bolesnej pracy. Zdarliśmy szaty wewnętrzne tej pięknej świątyni, gruntownie i doszczętnie. Zbiry wystawili sobie świadectwo swej zniklizny moralnej, a pyszni z powodu zwycięstw w roku 1940, zapomnieli o Bogu. Słyszeliśmy później, że kamienie z tego kościoła - piękne ciosy - użyto do budowy budynku względnie pałacu, dla gubernatora Wächtera. Nie przeczuwał widocznie ten dygnitarz hitlerowski, że krwią zbrzyżane i sprofanowane kamienie nie zapewnią mu spokoju domowego, - jemu wówczas panu życia i śmierci Polaków. To była najcięższa zbrodnia, której dokonała ta dzika horda na wzgórzu wiśnickim. W jakiś czas po zburzeniu kościoła zaczęły nas dochodzić słuchy, że zostaniemy wywiezieni, a zakład wróci, w całości do swego dawnego przeznaczenia, to znaczy będzie znów ciężkim więzieniem karnym. Mówiono, że planuje się nasz wywóz do Rzeszy. Ponieważ wszystkiego już spodziewaliśmy się, wiadomość ta nas nie przerażała, zwłaszcza, że owe tygodnie po ucieczce Krzykacza były dla nas nadzwyczaj przykre, upokarzające oraz ciężkie. Z końcem maja i przez czerwiec 1940 r., Selbstschutze a w szczególności bracia Frölichowie i Helmuth Bauer - piccolo z kawiarni Bizanża w Krakowie, podjudzanie przez Sojkę, Rzepkę, Madera i Maschnera szykanowali nas na każdym kroku. Pod rozmaitymi pozorami urządzali oni rewizję w naszych celach - zazwyczaj podczas naszej nieobecności - grabiąc przy tej okazji co się dało i co któremu z nich podobało się. Przeszukiwali również naszą korespondencję, węsząc zapewne jakiś spisek. Niewinne notatki dawały podstawę do nielitościwego bicia i torturowania. Nie wolno nawet było mieć wizerunku Boga na piersi, lub jakiegoś medalika, gdyż taka dzika bestia, jak Mader mógł gwałtem zerwać te świętości, raniąc przy tym szyję. Przy jednej z tych rewizji znalazł Jan Rzepka u księży paczkę komunikantów. Zdziczałe to zwierzę zjadło większą część, a resztę rzuciło na ziemię, a deptając te komunikanty wykrzy-

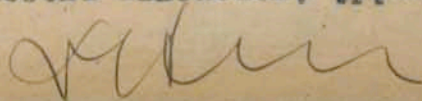
kiwał: "to jest wasz Bóg". Przy innej sposobności mówił Rzepka: "Drugi raz nie chciałbym być Polakiem", wyrazów tych użył gdy przechwalał się, że brał udział w powstaniu śląskim. Helmuth Bauer upatrywał sobie jako ofiarę swych niskich instynktów i brutalności, znanego i cenionego literata prof. Jana Pietrzyckiego. Tego kilkakrotnie wywlekał do osobnej celi i bił do nieprzytomności, nie zważając na jego sędziwy wiek i wyczerpanie. Powodem tej zemsty miało być to, że prof. Pietrzycki - jak mówił Bauer - był grymasnym gościem w kawiarni Bizanza - jak się później okazało istnej wyłęgarni szpiegów - Volksdeutschów i Reichsdeutschów, z samym Janem Bizansem na czele. Prof. Jan Pietrzycki z istic anielskim spokojem i godnością prawdziwego Polaka, znosił te katusze. To swęrazę w ludzkie ciało, doprowadziło do tego, że prof. Pietrzycki był bliskim zgonu, a strażnik Jan Rzepka, który go również nielitościwie bił kluczami, gdzie popadło, korzystając z jego prawie beznadziejnego stanu, skradł mu złoty - bardzo kosztowny - zegarek, którego Pietrzycki nie zdeponował w kancelarii więziennej. Twierdzą że skradł, gdyż prof. Pietrzycki zwracał się do kancelarii o zwrot tego zegarka, lecz go nie otrzymał. Po zwolnieniu z obozu pracy w Nowym Wiśniczu, usiłował odebrać zegarek ten od Jana Rzepki i jeździł nawet w tej sprawie do niego do Bochni - ale bezskutecznie. Pobicie - tak ciężkie - prof. Pietrzyckiego nie miało innego celu, jak tylko ograbienie go z tego zegarka, gdyż Rzepka o posiadaniu tego zegarka i jego wysokiej wartości był dobrze poinformowany. Strażnik Rzepka miał nieczyste sumienie i ciągle w czasie choroby Jana Pietrzyckiego pozostającej w związku z jego xx katowaniem pytał się asystenta i współwięźnia Theuerlego, czy prof. Pietrzycki będzie żył. Obawiał się widocznie, że będzie musiał - po złożeniu doniesienia przez Prof. Pietrzyckiego, - zegarek zwrócić. Prof. Pietrzycki nie mógł jednak takiego doniesienia złożyć, ~~xx~~ równałoby się <sup>to</sup> wyrokowi śmierci dla niego i kto wie, czy także nie dla innych, bowiem nikt nie odważyłby się, posądzić tak "szlachetnych" ludzi, jak Sojka, Rzepka, Mader, Maschner i Bauer o takie przemyślenia. Osławiony Rzepka, Bauer i Frölichowie starali się upokorzyć

nat

*W. K.*



nas do najwyższego stopnia. Wymyślali sposoby, które miały poniżyć zupełnie godność ludzką i osobistą w nas. Jak się później przekonałem nie były to proste wymysły tych zwyrodniałców. Byli oni bardzo pojętymi uczniami właściwej szkoły, a raczej celowej tresury. Dla przykładu podaję: pewnego dnia ustawieni w dwuszeręg - twarzami do siebie - musieliśmy na rozkaz bić się po twarzy. Można sobie wyobrazić nasze wzburzenie i wstręt do tych oprawców, którzy w ten sposób wymagali od nas największego upokorzenia, wyzbycia się godności ludzkiej. Ponieważ strażnik Rzepka i inni, zwłaszcza Helmuth Bauer bili ciężkimi kluczami po plecach i twarzy tych, którzy słabo policzkowali współwięźniów, przeto niejeden z nas prosił swego "przeciwnika", aby go silniej uderzał, chcąc w ten sposób uniknąć katorwania z rąk zbirów. Kiedy dyr. Stanisław Szeremeta uderzył łagodnie swego kolegę więziennego, wtedy Roskożył jeden ze zbirów i uderzył go tak silnie dwa razy w twarz, że się ten przewrócił i silnie zakrwawił. Przy tej okazji znęcamo się specjalnie nad pułkownikiem dyplomowanym Pietrasem. Można sobie wyobrazić jaki ból musiał przeszyść serce polskiego oficera, który znosił takie upokorzenie z rąk tego osobnika, który przestał być człowiekiem a który znał tylko pogardę i nienawiść dla każdego Polaka. Również bardzo dotkliwie i ciężko został przez tych zbirów pobity prof. Ludwik Stopka i adwokat dr. Tadeusz Turek, któremu rozbito głowę kluczami. Zgrzytaliśmy wówczas zębami, zaciskaliśmy pięści, ale byliśmy zupełnie bezbronni. Wierzyliśmy w sprawiedliwość Bożą. Wierzyliśmy głęboko, że to upokorzenie, którego musieliśmy doznawać, będzie ukarane i modlitwa nasza zostanie wysłuchaną. Istotnie w ręce sprawiedliwości wpadł - jak mi wiadomo - jeden z tych opryszków, a mianowicie Małachner. Czekam na karę, na którą dobrze sobie zasłużył w obosie pracy w Nowym Wiśniczu. Przypuszczam, że zostanie skazany na karę śmierci, będzie musiał oddać swe marne życie choćby tylko za sponiewieraną godność ludzką i osobistą, a nadto za inne zbrodnie. On i jemu podobni upojeni zwycięstwami i rabunkami swego przybranego narodu, pszczyński podnieceni alkoholem, pędzeni niskimi instynktami,



sędzili, że świat do nich należy i że można Polaków poniżyć i zdeptać. Przeżyje więc jeszcze Maschner kilka chwil, których będzie mógł rozmyślać, czy godziło się jemu jako plutonowemu wojsk polskich, zdradzać sztandar polski, kłamiąc złożoną Bogu i ojczyźnie przysięgę, i czy opłaciło się mu przestać być oszowiekiem. Uczynił to Maschner za bardzo niską cenę, za trochę strawy i alkoholu oraz by móc być pysznym z tego, że należy do narodu "panów", może gnębić słabych i upośledzonych. - - -

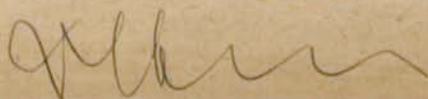
Prof. Pietrzycki zmarł w Krakowie, na skutek przeżyć w więzieniu w Nowym Wiśniczu w roku 1944. Nie mogłem wówczas opanować się i nie dać się folgi wzburzeniu na wspomnienie tych kreatur, które jak zmija pełzały po polskiej ziemi. - - - - -

Bodaj w kilku słowach muszę wspomnieć o życiu umysłowym w tych warunkach więziennych. Kilka książek z biblioteki więziennej i kilka jeszcze dawniej przemyconych wędrowało z celi do celi, tak, że musieliśmy się ograniczyć jedynie do ogólnej wymiany myśli w formie pogadarek, które re mogliśmy przeprowadzać tylko w niedzielę, a więc w czasie wolnym od zajęć i ewentualnie wieczorami, o ile znużenie całodzienną pracą nie zmusiło nas do dobrze zasłużonego spoczynku. Jak już wyżej wspominałem prof. Pietrzycki opowiadał nam wspomnienia ze swych pięknych podróży po Włoszech, przedstawiał nam rozwój literatury w ostatnich czasach. Ja przedstawiałem przeżycia na tle rozmaitych procesów karnych, które wzbudzały oczywistą ciekawość. Rozstrząsałem istotę i cel naszego przytrzymania z punktu widzenia prawa politycznego i karnego. Dzieliłem się wiadomościami o istniejących obozach, starałem się wykazać, że nasze przytrzymanie jest tylko chwilowe, zmierzające do zabezpieczenia spokoju wewnątrz gubernatorstwa i że nie wątpliwie w krótkim czasie zostaniemy zwolnieni, tym bardziej, że nie prowadzą przeciwko nam żadnych dochodzeń. Poza tym w wolnych chwilach pozowaliśmy kolegom - Żurawskiemu, Polichtowi i Korpalowi - którzy uwieczniali nasze oblicza w mundurach aresztanckich i przy tej sposobności zaznajamiali nas z techniką ich sztuki z zasadami poszczególnych szkół malarskich. Czcigodni kapłani, przy każdej okazji, a

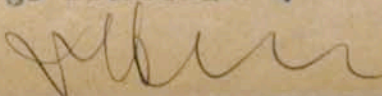
zwłaszcza w chwilach najcięższych katuszy podtrzymywali nas na duchu, pocieszali i dodawali nam otuchy, przez odpowiednie lekcje i wykłady teologiczne, które stały nieraz na bardzo wysokim poziomie. Im to głównie zawdzięczać musimy, że nie załamaliśmy się chociaż ten czy ów, żyjący w tak okropnych warunkach, zaczął się wahać. W ich otoczeniu i po rozmowie z nimi wzmacniał się jednak na duchu i nie tracił wiary w sprawiedliwość Bożą, co zwłaszcza w początkowych miesiącach pobytu w więzieniu było rzeczą najważniejszą. Niektórzy koledzy zostali z więzienia zwolnieni na skutek starań swoich rodzin. Jednym z pierwszych, którzy zostali zwolnieni był inż. Ernest Cieślewski, potem dyr. Zygmunt Borensz i Zygmunt Falk. W dniu 6 kwietnia opuścił obóz dr. Wacław Brodkiewicz, za nim został wypuszczony w maju w na wolność ksiądz Józef Majger, - w czerwcu prof. Franciszek Bielak, a trzynastego czerwca - rektor inż. Jan Krauze. Zwolnienia tych kolegów umacniały nas w wierze, że starania naszych rodzin odniosą także skutek i że sukcesywnie uzyskamy wolność, zwłaszcza, że nie badano nas i nie podnoszono żadnych zarzutów. - - - - -

Z drugiej atoli strony coraz głośniejsze zaczęto mówić o naszym wywiezieniu. W dniu 18 czerwca 1940 roku, kiedy pracowałem razem z kolegą prof. Józefem Hajdukiewiczem w ogrodzie przechodził obok nas zastępca komendanta obozu Włoka, z zawodu szofer mechanik, z którym mało kto się stykał, gdyż był on przeważnie zajęty wyjazdami poza obóz. Włoka przechodząc zwrócił się do mnie z zapytaniem, jak się nazywam i jakim jest mój zawód. Po otrzymaniu odpowiedzi Włoka zwrócił się z tym samym pytaniem do prof. Hajdukiewicza i gdy podał, że jest profesorem gimnazjalnym, Włoka wyjął z kieszeni arkusz i zaglądnąwszy do spisu rzekł: "Ist gut" / Dobrze jest/. Ucieszyliśmy się wówczas, albowiem zaczęliśmy kombinować, że może zostaniemy zwolnieni. Inni koledzy zaczęli przysmyślać, czy wszyscy bez wyjątku, czy tylko niektórzy, czy tylko profesorowie może, aresztowani przy pracy w sakołach. Następnego dnia wieczorem wywożano wszystkich profesorów powyżej lat 40-tu, oraz kilku

innych kolegów, kazano im zabrać ich swoje rzeczy i umieszczono ich na tę noc w sali innego budynku zakładowego. Reszta pozostała w swych celach. Powyższa dyzlokacja/<sup>dała</sup> znowu pole do rozmaitych dociekań. Nie mogliśmy jednak nic pewnego powiedzieć do chwili, kiedy nadeszła wiadomość, że tego wieczoru komendant obozu Asmus wygłosił do zebranych okolicznościowe przemówienie z okazji, że mają być zwolnieni z obozu następnego dnia. Dział przypominam sobie zachowanie zwolnionych; z jednej strony ogarnęła ich radość, a z drugiej żal z powodu rozstania z kolegami, z którymi łączyło ich tyle cierpień i gorzkich chwil. W rzędzie tych szczęśliwców obok starszych profesorów, znalazło się także kilku kolegów, którzy swego czasu, mniej więcej w połowie marca 1940, byli badani przez lekarza obozowego dra. Himmelbacha i zostali uznani za chorych. Byli to: rejent doktor Adam Brzostyński, adwokat z Brzozowej, dr. Adam Dobrowolski, em. prof. ginek. dr. Zygmunt Karliński, Józef Zych i ks. Wiktor Macko. Ogółem do zwolnienia przeznaczono 27 osób. Tutaj muszę wspomnieć, że przez proste przeoczenie nie wywołano prof. Eugenjusza Drożdżikowskiego. Skoro zauważył to jego kolega prof. Ludwik Stopka, zwrócił się do komendanta obozu Asmusa z przedstawieniem, że kolega Drożdżikowski został w tych samych warunkach aresztowany, jak i oni i dlatego wydaje mu się dziwne, że nie przeznaczono go do zwolnienia. Przy przeglądaniu listy zwolnionych okazało się, że na arkuszu na 1-ej stronie uwidocznione było 26 nazwisk, a na odwrotnej 27-me., Eugenjusza Drożdżikowskiego. Z pośpiechu nazwiska tego nie zauważono, i niewątpliwie, gdyby nie interwencja kolegi Ludwika Stopki, prof. Drożdżikowski pozostał by nadal w obozie i podzielił by nasz dalszy los w Oświęcimiu. Wśród zwolnionych znalazł się także były wojewoda krakowski płk. Michał Gnoiński, którego zwolnienie - jak zaznaczył w swym przemówieniu komendant obozu Asmus - nastąpiło dlatego, że był "brav" /grzeczny/. Tą pochwałą był pułkownik Gnoiński zaskoczony, bo był on taki "grzeczny" jak i my wszyscy. Widocznie spodobał się ko-



mendantowi kiedy peźnik służbę telefonisty w kancelarji komendanta. Później jednak dowiedziałem się, że wpadł on w ręce Gestapo po raz drugi w Warszawie i podobno zginął. -----  
Wówczas zwolniono 27, a na wywóz przeznaczono 323 więźniów i tem samem prysły nadzieje, że my też w 100 pierwszych więźniów z obozu w Nowym Wiśniczu zostaniemy zwolnieni. Na drugi dzień 24 czerwca 1940 r. zbudzono nas wczesną rano i polecono pakować nasze rzeczy, które poprzedniego dnia popołudniu wydano nam z magazynu więziennego. Zdeponowane wartościowe rzeczy miały być nam osobno przesłane do naszego nowego miejsca przeznaczenia. Rano przyszedł także dr. Himmelbach i wezwał wszystkich tych do badania, którzy nie czują się dosyć silni do przebycia marszu blisko 9-cio kilometrowego do Stacji Bochni. Zgłosiło się zaledwie kilku - wielu nie chciało ryzykować ewentualniejszej przykrości, która mogłaby ich spotkać wrazie nieuznania ich za niezdolnych do marszu. Marsz ten zaś o tyle był cięższy, że nasze rzeczy załadowano na kilka furmanek zwerbowanych z okolicznych wiosek. Mniej więcej koło godz. 10-ej przed południem, wyprowadzono nas z więzienia pod bardzo silną strażą i rozpoczęliśmy znowu ciężki marsz do Bochni. Dotąd nikt ani słówkiem nie zdradził naszego dalszego przeznaczenia. Koledzy zwolnieni z obozu pojechali w pierw samochodami, wraz z kolegami niezdolnymi do marszu/między którymi znajdował się kolega Bolesław Rozmarynowicz/. Reszta musiała w szybkim tempie zdążyć do stacji w Bochni. Już z drogi w Bęczkani koło omentarza, na ostatnim wzniesieniu w Nowym Wiśniczu, ostatni raz rzuciłem okiem na te mury więzienne które byłem niemyym świadkiem naszego upokorzenia i wielkiej udręki. Pożegnałem ten sprofanowany i zniszczony kościół, w końcu pożegnałem ostatni raz kolegów zamordowanych i śpiących snem nie-przespanym w lesie obok zakładu więziennego. Gnani i pędzeni w upalny dzień czerwcowy przez policjantów, a zwłaszcza jednego jadącego z tyłu na motocyklu, który nas poganiał biczyskiem, z trudem i bez odpoczynku dotarliśmy do stacji kolejowej w Bochni. Po drodze upadał ze zmęczenia i braku sił sędziwy prof. ks. dr. Marian Morawski, którego szturchnąciami i kopaniem eskortujący sa-



chęcali do powstania z ziemi. - - - - -

Na stacji oczekiwała nas już grupa, przewiezionych samochodami kolegów. Za chwilę załadowano nas do wagonów, tym razem osobowych, nie pozwalając atoli otwierać okien. Mniej więcej koło godziny 13-szej w południe zbliżyliśmy się do Krakowa. Przez jakiś czas zatrzymał się pociąg przy trzecim moście podgórskim. Biąłem wówczas myślą do swoich, byłem przecież na rodzinnej ziemi krakowskiej, niestety jako niewolnik. Drugi postój przed stacją był przy ul. Lubicz. Nastacji wysiedli koledzy mający być zwolnieni, a przewiezieni w osobnym wagonie. Ustawiono ich w dwuszeręg. Milcząco i ze szczerym żalem żegnali nas. Współczucie dało się wyczytać w ich smutnych oczach i poważnych twarzach. Żegnaliśmy ich skinieniem rąk i głowy, przez zamknięte okna wagonu; żegnaliśmy ich w tej myśli, że oni będą mścicielami naszych udrek i cierpień i że oni będą oskarżycielami owych zbrodniarzy, którzy nas chcieli zdusić i zdławić w ciągu jednego półrocza. - - - - -

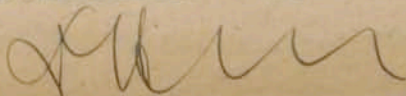
Po pewnym czasie pociąg ruszył znowu, a ja wraz z moimi towarzyszami Stanisławem Robakiem i Józefem Przebindą w skupieniu spoglądaliśmy na ukochane mury rodzinnego Krakowa, na ludzi chodzących wolno i swobodnie. Na widok znikającego nam z oczu kopca Kościuszki, żzy cisnęły się nam do ócz. Cierpieć za wolność jest słodko, a nawet obowiązkiem, ale trzeba mieć siły, a tych zaczynało nam widocznie z każdym dniem brakować. Zwolna zbliżaliśmy się do celu naszej podróży, od kolejarzy bowiem dowiedzieliśmy się, że jedziemy do Oświęcimia. Jakaś wiara wzmacniająca ogarnęła nas nasze umysły. Oświęcim przecież to ziemia polska, nie może nam być tam źle, przypuszczaliśmy że wyjdziemy stamtąd żywi i cali. Smutny siedział tylko kolega Józef Przebinda, gdyż czuł że już swojej rodziny nigdy nie zobaczy. - - - - -

Po nuzającej podróży przybyliśmy na stację Oświęcim, -oskawione później "Auschwitz". Przejżdżając koło drutów kolczastych zauważyliśmy za drutami ludzi ubranych w pasiaste, białe-niebieskie drelichowe mundury, wykonywujących mechanicznie roboty, które raczej wskazywały na zupełną bezmyślność ludzi-manekinów, ludzi pozbawionych woli i rozumu. - - - - -

Z okien wagonu widzieliśmy spalone małe domki, bez szyb, budynki ogrodzone drutem kolczastym obok którego z zewnątrz stały wieże strażników, z karabinami maszynowymi z obsługą SS-mannów. Za drutami widziałem w pasiastych mundurach niektórych więźniów z okrągłymi myckami marynarskimi na głowach. Byli to jak się później dowiedziałem więźniowie niemieccy, przeważnie kryminaliści. W dniu 10-go czerwca 1940 r. przyszedł do obozu transport około 700 ludzi przeważnie z więzień krakowskich i tarnowskich. Tutaj już wspomnę, że z tym właśnie transportem przybyli m.in. redaktor Stanisław Mróz, litograf Wergili Pruszyński, sędzia dr. Marian Andrysik, adwokat krakowski dr. Adam Dobrowolski. My więźniowie z Wiśnicza, gdzie tworzyliśmy pierwszy obóz koncentracyjny w dawnym Generalnym Gubernatorstwie, po przejściu przeszkolenia w zakładzie karnym w Nowym Wiśniczu, mieliśmy w Oświęcimiu rozbudować ten nowozałożony i na wielką skalę przemyślany obóz koncentracyjny i zużytkować nasze przeszkolenie w stosunku do wszystkich następnych i niezliczonych transportów, które miały być w przyszłości skierowane do Oświęcimia. My mieliśmy rozbudować ten obóz <sup>na</sup> wielki obóz zniszczenia. Przeszkoleni, jakby w kadrze, przy rozmaitych warsztatach pracy w więzieniu w Nowym Wiśniczu, mieliśmy nasze praktyczne przeszkolenie, przenosić na te tysiące osób, które miały być tutaj z czasem spędzone. Byliśmy mimowoli pionierami niszczyielskiego ruchu hitlerowskiego. Pierwszy szereg niezliczonych tysięcy więźniów politycznych rozpoczął swój żywot w okropnych warunkach. Albowiem było dopiero początek istnienia obozu w Oświęcimiu. Układano dopiero jego plany, zbierano potrzebne materiały, spędzano ze wszystkich stron Polski niewolników, którzy mieli potworne dzieło zniszczenia wybudować własnymi rękami i w największym poniżeniu. - - - - -

Na dworcu kazano nam z wagonów szybko wysiadać i pod silną eskortą, zaprowadzono do dużego budynku, dawniej należącego do Monopolu Tytoniowego, gdzie wpędzono nas do piwnic. Tam nastąpiło przyjęcie

nas przez oszawionego później Leona Wieszorka/Wieszorek/naszego późniejszego blockführera. Po złożeniu naszych rzeczy spędzono nas do dwóch wielkich sal, położonych na piętrze, w których znajdowała się tylko słoma na ziemi i kazano nam spokojnie i cicho leżeć. - - Wspomnieć muszę, że w tym dniu od rana nie dano nam zjeść nic do jedzenia, ani do picia. Ponieważ pędzono nas szybkim krokiem z Wisznicy do Bochni, byłem zupełnie wyczerpany. Nic dziwnego, że w tej piwnicy w dusznej atmosferze zemdlełem z wyczerpania i osłabienia. Ocucił mnie nieodłączny Józef Przebinda, który wystarał się dla mnie od jednego z księży o kilka kropel wina. Pierwszą noc leżeliśmy obok siebie, ja Robak i Przebinda. Zupełnie bez sił, wyczerpani zasnęliśmy szybko, aby wnet zbudzić się i rozmyślać nad naszym dalszym marnym losem. Rano po pobudce rozpoczęto z nami musztrę, podczas której znowu zemdlełem. Po musztrze nastąpiło dopełnienie dalszych formalności, które miały miejsce zawsze w związku z przybyciem nowych ofiar. Formalności te poza ostrzyżeniem nas i kąpielą, polegały na spisaniu naszych personali i zarejestrowaniu nas. Ja otrzymałem numer 947. Na drugi dzień stawaliśmy przed t.zw. komisją lekarską, przed którą każdy mógł podać swe cierpienia i dolegliwości. Badanie zakrawało na kpiny, bo każdego uznawano za zdrowego, a tylko bardzo stary i dotknięci widocznymi dolegliwościami, oraz widoczni inwalidzi mogli liczyć, że dostaną się na t.zw. oddział inwalidów. Reszta została rozdzielona od razu po poszczególnych blokach i wtedy rozdzieliły się nasze wspólne drogi z Józefem Przebindą. On jako młody, zaledwie ~~22~~ 26 lat liczący, silny i rosły przeznaczony został do robót ciężkich. Ja ze Stanisławem Robakiem, prof. Antonim Rejninem, Adamem Różyckim, pozostałem w oddziale dla inwalidów, nad którym główną pieczę sprawował wspomniany już przede mną Leon Wieszorek. Był to typ spod ciemnej gwiazdy, kryminalista, który w tym czasie przebywał w obozach koncentracyjnych już 6-ty rok. Był on sadystą, bowiem znajdował radość w naszych udrękach. Jako mężczyzna o





atletycznej budowie ciała uprawiał z nami istne harce. Przed wszystkim mistrzę wojskową i gimnastykę szwedzką, bez przerwy od godziny 6-1 rano do godz-6-tej wieczorem, z krótką dwugodzinną przerwą na obiad. Za najdrobniejsze przewinienia, lub zupełnie bez powodu bił więźniów gdzie i czym popadło, oraz kopał, na skutek czego wielu z więźniów zostało kalekami. Nadzór nad całym obozem spoczywał w rękach SS. Obóz, jak zaznaczyłem, był dopiero w zarodku. Położony był nad Sołą, niedaleko Wisły, w miejscu bardzo niezdrowym, wilgotnym, a pod względem klimatycznym nieznośnym z powodu ciągłych deszczów. W tym miejscu były dawniej koszary artylerii i magazyny Monopolu Tytoniowego. Budynki te musiano dopiero przerabiać na cele obozu koncentracyjnego, a późniejszego obozu zniszczenia. Miano to zrobić i zrobiono rękami tych setek tysięcy niewolników i męczenników, którzy się tu znaleźli. Nie oglądając się na siły i środki zaprzęgnięto wszystkich z miejsca do pracy i to bardzo ciężkiej, do budowy ogromnego obozu koncentracyjnego, który rósł jak na drożdżach, musiał się rozrastać, aby pomieścić tysiące ofiar, a później zniszczyć miliony ludzi. A więc z początku pracowaliśmy przy rozbiórce niepotrzebnych budynków, nadbudówek istniejących, plantowaniu gruntu, przeznaczonego na plac apelowy, przy budowie szop kuchennych, a następnie także już przy budowie pierwszego krematorium wewnątrz obozu. Ta budowa była trzymana jednak w zupełnej tajemnicy, tak że kiedy raz zapytałem strażnika, czy to będzie może piekarnia, odpowiedział: "du möchst nur fressen" / ty byś tylko żarł. Budując rusztowania na wysokości pierwszego piętra z desek często nieodpowiednich, często zbutwiałych, bez gwoździ i haków, narażeni byliśmy codziennie na bolesne upadki i potłuczenia, a nawet kalectwa. Każda czynność przy robotach musiała być wykonana biegiem, nawet zwózka cegieł, przy której byłem jak: czas zajęty - tak że znużenie było okropne. Do tacek musiało się ładować 25 sztuk cegieł i biada temu, kto się odważył załadować mniej, bo gdy go spotkał strażnik i skontrolował, że ilość załadowanych cegieł jest mniejsza, bił go niemilosierdzie. Za najdrobniejsze uchybienia, a nawet

bez powodu, pierwszy lepszy SS-owiec bił i kopał niewinną ofiarę. Drę-  
czono nas nawet śpiewem. Podawano banalny tekst piosenki i przez noc  
musieliśmy uczyć się tych piosenek, w obawie przed pobiciem, na wypa-  
dek gdyby indywidualny egzamin wypadł z wynikiem  $\times$  ujemnym. Można so-  
bie wyobrazić jaką męką było dla człowieka, niewładającego językiem  
niemieckim, wyuczyć się tych głupawych piosenek. Niejednokrotnie z te-  
go powodu bracia Albertyni, a mianowicie brat Wincenty /Józef Wolniara-  
ski/ i brat Serafin /Józef Zwoliński/ $\times$ , którym teksty piosenek  $\times$ o du  
mein Bublikopf" lub "Im Lager Auschwitz war ich <sup>zwar</sup>so manchen Monat so  
manches Jahr"/ nie chciały wejść do głowy. - byli katowani, bici i  
przezwani "ihr verfluchte Pfaffen"  $\times$ wy przeklęte klechy/. Dopiero mo-  
je wytłumaczenie, że oni są członkami żebraczego zakonu, zajmującego  
się największą biedotą, zmitygowało naszego oprawcę. Niestety jak się  
dowiedziałem, obaj bracia zginęli później śmiercią męczeńską w Dachau.

Rano wstawaliśmy już o 3.30. Następnie musieliśmy biec pół nago  
do studni i szybko myć się; a ponieważ była tylko jedna studnia i  
przy niej znaczny natłok, niektórzy w poszczególnych dniach myć się  
nie chcieli. Wieczorem, po myciu kontrolował ręczniki, a znalazłszy u  
któregoś z więźniów ręcznik suchy, posiadacza tegoż okładał kijem po  
głowie i po całym ciele. Poganiał on również do studni, częstując  
każdego silnym uderzeniem, gdzie trafił. - - - - -

Odżywienie było marnie. Czarna woda, zwana kawą z rana, w południe  
zupa kartoflana, lub ziemniaki z kapustą, czy brukwią, wieczorem 30g  
chleba i trochę marmolady, lub kawałeczek sera, względnie jeszcze  
mniejszy kawałeczek kiełbasy. Dożywić nie mogliśmy się, bo był za-  
kaz przysyłania paczek żywnościowych. Rzecz prosta i zrozumiała, że  
przy ciężkiej pracy, przez blisko 10 godzin dziennie, zaczęliśmy o-  
kropnie chudnąć i opadać ze sił. Okropnie odczuwało się solidarne kary  
za najdrobniejsze przewinienia, n.p. zapalenie papierosa podczas zajęć  
lub spoczynek podczas pracy. Cały blok, lub poszczególne izba, ponosiła  
karę w istocie bardzo okrutną. Nie zapomnę nigdy nocy 6-go na 7-go

lipca 1940 r. ze soboty na niedzielę. W tym dnia zbiegł z obozu jakiś więzień. Jako karę postanowiono, że wszyscy więźniowie będą stać na baczność od godziny 9-tej wieczór, do drugiego dnia do południa. Kamiona musieliśmy mieć złożone z tyłu na karku. Podczas nocy oświetlano nas reflektorami i SS-owcy skrupulatnie pilnowali, aby nikt z nas nie ważył się rąk opuścić, a kiedy ze znużenia i zmęczenia u niektórych następowało to, bito go i katowano bez litości. Rezultat tego był ten, że z bloku naszego/10-go/ liczącego 256 więźniów, zaledwie około 60-ciu wytrzymało te katusze. Ludzie padali z omdlenia jak muchy, a wtedy polewano ich wodą i bito. Niektórzy doznali jakiegoś dziwnego porażenia rąk, a zwłaszcza kolega więzienny, dr. Er Curug Bachleda. Innym razem, jeszcze kiedy byłem w głównym budynku t.zw. Lager II musieliśmy biegać na placu znajdującym się przed budynkiem mniej więcej od godz. 3-ciej po południu do 7-mej wieczorem, podczas dnia bardzo dusznego. Sam z natężeniem wszelkimi sił zdołałem biec mniej więcej półtorej godziny, z wyczerpania zemdląłem i zaniesiono mnie na 2-gie piętro tego budynku, gdzie się znajdowała właściwa stacja ratunkowa. Tam przeważnie bito i polewano zimną wodą. Kiedy mnie wniesiono na salę - jeden z SS-owców odezwał się "ach der alte " i to zdaje się uchroniło mnie od pobicia. Często kazano nam rozbierać się do bielizny i tarzać się po ziemi, przynosym kopaniem zachęcali nas SS mami do szybszego wykonania rozkazu. Przy tej okazji jeden z SS-ów kopnął mnie w bok tak silnie, że przez kilka dni odczuwałem dotkliwy ból, i nawet nie przypuszczałem, że wskutek tego doznałem złamania żebra, co zostało stwierdzone późnżej. Rozwścieczeni SS-cy gnali nas zawsze na każdym kroku i bez żadnego powodu, tylko dla prostej ich przyjemności. Uczyli nas muzyki i komendy niemieckiej bez przerwy po kilka godzin, aż do zupełnego wyczerpania i zniszczenia. Rozweselali się oni także na swój dziki sposób. Otóż spędzali wszystkich żydów w koło i kazali im śpiewać niemiecką piosenkę, drwiącą z żydów /*Wah o du mein Jeruzalem*/, a ~~niektórzy~~ chórem tym kazali dyrygować kato-

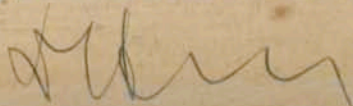
lickiemu księdzu, o ile się nie mylę z Niska lub Łazajska. Była ta dzicz ze śmiechu, a to im wcale nie przeszkadzało, że w przerwach bili i kopali Bogu ducha winnych, przymusowych słuchaczy. Oznaki wyszywane na bluzach i spodniach wskazywały do jakiej kategorii więźniów dany więzień należał, n.p. trójkąt czerwony oznaczał więźnia politycznego. Osobną oznakę mieli księża, osobną Żydzi. Wobec tego SS-manni z Łatwością wybierali z siebie ofiary. Największego upokorzenia doznawali księża. Nad tymi pastwili się SS-manni w sposób iście bestialski. Ponadto to używano ich do najcięższych i najprzyczekajszych robót n.p. do ciągnięcia ciężkiego walca, służącego do ugniatania ziemi na przyszłym placu apelowym. Przechodzili oni udręki prawdziwych męczenników, byli przedmiotem pośmiewiska tej zgrai zbrodniarzy, która wyszła z jednej wielkiej szkoły, w której wydarło jej wszelkie zasady moralne i etyczne. Nie zapomnę tej sceny, kiedy ze zbirów SS-kich zbliżył się do sędziwego, już ciężko schorzonego księdza profesora dr. Mariana Morawskiego i zapytał go "hast du wo den Gott gesehen" /czy widziałeś gdzie Boga/. Ten poważny i wielce uduchowiony uczonej spuścił oczy a następnie, patrząc prosto w oczy zbira, nie odpowiedział ani słowa. Na to zwyrodnialec uderzył go w twarz i powalił na ziemię. Drugiego zaś księdza zapytał "hast du eine Geliebte" /czy masz kochankę/.  
~~Wsp.~~ Również nie otrzymał odpowiedzi, za co został spoliczkowany.

Innym razem widziałem, gdy wprost upadający ze sił ks. dr. Morawski odpoczął na chwilę wśród nas, czyszczących cegłę, t.j. obskrobujących cegły z wapna, wówczas podszedł do niego taki zwyrodnialec i uderzył go tak silnie w twarz, że ks. dr. Morawski upadł i uderzył głową o żelazne taczki, przecinając sobie silnie policzek. Nic też dziwnego, że ten sędziwy uczonej nie wytrzymał długo tych męczarni i zmarł z wyczerpania. Za nim poszli także księża Kazimierz Dębowski i ks. Józef Cyrek. Niemcy zabili ich, zniszczyli ich ciała, ale ducha nie złamali.

Ciężką karą równającą się prawie śmierci było 25, względnie 50 uderzeń kijami bukowymi w pośladek. Tę karę mało kto wytrzymał, a po

jej utrzymaniu ciało zamieniało się w ciemno zieloną zgnilą brykę. Widziało się przez kilka dni te oczekujące do studni szkielety, obmywane z ostatnim wysiłkiem brudne rany i zazwyczaj kończące swój żywot pod płotem. Straszna kara był także "szupek", spod którego wychodzili więźniowie czarni i pół żywi. Widziałem takiego naszego współwięźnia Adama Różyckiego, zresztą inwalidę. Kara chłosty wykonywana była po apelu wieczornym, na widoku wszystkich więźniów danego bloku. Prawie wszyscy spuszczaali głowy na widok takiego bestialskiego obchodzenia się z ludźmi, przez nieładzi. Przeróżliwe krzyki, wyrazy wielkiej bólesci, przesywały powietrze i serca nasze, ale byliśmy wszyscy bezradni, skazani na zagładę i powolne konanie. Ulubioną karą były także "żabki", chodzenie kaczym krokiem, a więc w pozycji przykucniętej, przez całe godziny. Najdrobniejsze usiłowanie wyprostowania ciała pociągało za sobą kopanie i bicie. Dla większej sztywności kazano w bieliznie tarzać się po ziemi i za pół godziny pokazywać bieliznę znowu czystą, wypraną, naturalnie bez mydła i gorącej wody. Nic więc dziwnego, że więźniowie biegali z częściami garderoby po placu, susząc je na słońcu, a obserwator zewnętrzny musiałby przyjąć, że to są już ludzie niespełna rozumu. Nigdy nie mieliśmy spokoju. Nawet po apelu wieczornym, kiedy położyliśmy się na słomie na spoczynek wpadał często SS-wiec i kontrolował nie tylko czystość nóg, ale butów, z taką dokładnością, że nawet ziarko piasku, znalezione na podszwie buta, powodowało silne i dotkliwe pobicie. Nie dość szybkie powstanie z legowiska nawet człowieka ciężko chorego - groziło pobicie. Wyszukiwano przez różne roboty zupełnie niecelowe i dla prostego znudzenia i zmęczenia. Kazano na przykład ziemię przekopywać i przesypywać z miejsca na miejsce, bez żadnego określonego celu. Kazano nam czyścić szyby okien papierami i to bez przerwy, tak że szyby czyszczone przed południem musiały być znowu czyszczone po południu. Czyszczenie takie było przeprowadzone całymi dniami. Niektórym, a zwłaszcza kolegom redaktorów

Stanisławowi Mrozowi, kazano cały dzień zbierać znajdujące się na trawnikach względnie chodnikach niedopałki, a nawet zapałki i najdrobniejsze śmieci. Robota musiała być wykonana nad wyraz pedantycznie, gdyż stwierdzenie przez SS-owca, że gdzieś leży drobny papierek, kosztowało już kolegę Stanisława Mroza, bardzo dużo, bowiem za to bito go i kopano. Przy tej okazji uderzył go raz jeden SS-wiec tak silnie, że ten się przewrócił i doznał złamania ręki. Dla chirurgicznego zabiegu odwożono raz, lub dwa razy do Katowic, ale to nie przeszkadzało że mimo tego, iż miał rękę na temblaku i bardzo cierpiał, był dalej bity, jeżeli jego praca w czymkolwiek nie spodobała się któremuś ze strażników. Zaraz z początku używano nas do rozbiórki niektórych szop i odbijania tynku. Robota wykonana musiała być bez jakichkolwiek narzędzi. Musiano dopiero te narzędzia na swój sposób skonstruować, budować rusztowania z materiału zupełnie nieodpowiedniego, i to bez żadnych narzędzi, haków, lub gwoździ. W rezultacie bardzo często rusztowania się zlamywały, więźniowie doznawali dotkliwych pokaleczeń a nawet kalectwa. Pył wapienny okrywał twarze i całe ubranie, tak że kiedy pierwszy raz widziałem oddział wracający z tej roboty, przypuszczałem, że koledzy ci pracowali w młynie jako młynarze. Tego samego dnia zostałem również do tej roboty przeznaczony i na własnej skórze przekonałem się, jaka to była przykra i ciężka praca, bowiem wiatr wpędzał do oczu i uszu tumany wapiennego pyłu, a oczyszczenie ubrania, względnie umycie się przy jednej tylko studni, było bardzo utrudnione. Zaniedbanie tego nawet w drobnej części groziło ciężkim pibiciem. Nad wyraz przykrą funkcję spełniał na naszym bloku lo. 12 Relega leśniczy ze sanockiego powiatu, człowiek przeszło 60 lat liczący. Miał powierzony nadzór nad czystością ustępów, a raczej latryny. Był odpowiedzialny za to, że nikt nie znajduje się w tej ubikacji poza oznaczoną godziną i nie będzie się tam paliło papierosów. Przechodził on iszkatne męki, bo najdrobniejsze niedopatrzienia, pociągały



za sobą jego bicie i katowanie. Nie można więc się dziwić, że i on niedługo wytrzymał te katusze i wkrótce zmarł. Mieliliśmy na naszym bloku 10, również SS-manna, który z początku w stosunku do nas, był zupełnie znośny, tak, że nazywaliśmy go "der Gute". Miał on służbę co drugi dzień na przemian z drugim, który był istnym kłosem i uzupełniał w zupełności naszego wspomnianego już Blockführer, Leona Wieszorkę. Skoro po kilku dniach doszło do wiadomości tego dobrego, że w oczach naszych jest dobry, widocznie przestraszył się takiej oceny i zmienił swój stosunek w sposób gwałtowny, prawie przez noc. Uczynił to z pewnością dlatego, aby wobec swych przełożonych wykazać, że niesłusznie Polacy nazywają go "der Gute". Długie tygodnie istotnie nas mierzono, aż nareszcie otwarto kantynę, jakby na urągowisko, bo o dożywianiu w tej kantynie nawet mowy nie było. Z jedzenia można było tam raz na tydzień może, otrzymać jakąś bułeczkę, za to bardzo dużo nabyć można było pasty do zębów. Niemało było udręki z powodu wszy i pcheł. Te usiłowano tępić przez kąpiele urządzone od czasu do czasu, ale rezultaty były nieszczególne, z powodu przybywania ciągłych nowych transportów więźniów. Pedantycznie przestrzegano strzyżenia i golenia. Golenie, względnie strzyżenie mogło być wykonane tylko w czasie przerwy obiadowej, względnie wieczorem, a zaniedbanie ogolenia codziennego, powodowało zazwyczaj spoliczkowanie winnego. Przyjęcie do obozu było straszne. Każdego rozbierano do naga, zanurzano w zimnej wodzie w kadzi, względnie korycie, strzyżono włosy do skóry, a przytem nie-  
litościwie każdego prawie bito. Przetrzymać taki wstęp do obozu było już wielkim szczęściem, lub nieszczęściem, bo koniec był prawie zawsze pewny, prawie zawsze śmierć. -----

Jak już wyżej wspominałem, pierwsze tygodnie, t.j. mniej więcej do lipca, spędziłem w głównym budynku zwanym "Großes Lager II", przebywali tak zwani inwalidzi. W pierwszych dniach lipca przeniesiono nas wszystkich do Bloku 10-go, na bloku 10-ym znajdowała się zakże

liza chorych t.zw. "Krankenbau", gdzie zgłaszali się chorzy. Uchorować nie było wolno, jak wyraził się raz jeden SS-mann zachorować wolno na 5 minut, przed śmiercią. Do pomocy lekarza obozowego Niemca przydzieleni zostali więźniowie lekarze medycy ale i oni, mimo najlepszej chęci, nie mogli nam dużo pomóc. Ogólne wyczerpanie i czparki niszczyły organizmy, o leczeniu nie było mowy, już nietylko z tego powodu, że nie było lekarstw i opatrunków, ale z tego zasadniczego powodu, że ~~nie było lekarstw i opatrunków, z tego powodu~~ brak był odżywienia, a zwolnionym od pracy można było być dopiero przy ciepłocie 39 st.C. Sam zacząłem cierpieć bardzo wskutek osłabienia mięśnia sercowego i schudnięcia. Straciłem w kilku tych tygodniach 16 klg.. Nogi zaczęły mi puchnąć, nie mogłem nosić obuwia - zresztą swego własnego, bo zakładowego nie otrzymaliśmy i przeważnie chodziliśmy wbośo. Rany na nogach opuchniętych nie można było bandażować, bo bandaży płóciennych nie było., a papierzane w błocie nic ran nie chroniły. Wz uzyskałem także swego czasu od lekarza, z uwagi na osłabienie serca i popuchnięte do kolan nogi, zezwolenie na pracę siedząc, a więc mogłem czyścić okna siedząc, względnie czyścić cegły. Nie chroniło mnie to od tego, że czasem, zanim wyjąłem kartkę ze zezwoleniem na pracę siedzącą, zostałem spoliczkowany przez SS-manna. Kiedy mu takie zezwolenie pokazałem, machnął ręką i poszedł dalej. Obawiano się bardzo gruźlicy i chorób wenerycznych i dlatego chorych na te choroby zebrano do osobnych sal. Traktowanie ich nie było wcale lepsze niż innych, a gruźlicy nie otrzymywali wcale lepszego odżywiania. Z początku niektórzy koledzy myśląc, że na tych Oddziałach będzie żywot znośniejszy, próbowali, nawet bez potrzeby nie-dotknięci chorobą, na ten Oddział się dostać, ale wnet przekonali się, że złudne były ich nadzieje o ile możliwości, znów z tych Oddziałów szybko uciekali. Byli także wśród nas, względnie z dalszych transportów prawie 100% inwalidzi, bez rąk, bez nóg, a nawet starcy 80-letni. Wszystko tam zostało spędzone i stłoczone narazie na

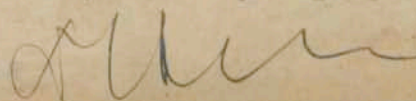


blok 10-ty. W pierwszych dniach sierpnia wszystkich więźniów bloku 10-go rozdzielono pomiędzy inne bloki. Ja znalazłem się znowu z moim serdecznym towarzyszem Stanisławem Robakiem w bloku 3 a. Z początku pracowałem przy zwózce ziemi, ale widząc, że siły mi nie dopiszą i wnet przyjdzie mi pożegnać się z tym światem, za namową i poradą, oraz wstawieniem się Stanisława Robaka u kapo Aleksandra, który miał nadzór nad obieraczami ziemniaków, dostałem się do tej grupy, wśród której znalazłem moich dawnych towarzyszy a mianowicie: Dra Józefa Putka, Tadeusza Turka, Mieczysława Urbańskiego i innych. Wtedy znowu miałem sposobność zetknąć się z kolegą Bolesławem Rozmarynowiczem, który pracował w magazynach odzieżowych, z kolegą Józefem Przebindą, który pracował w betoniarni i z adwokatem drem Adamem Dobrowolskim, który sajtety był w "Effektenkammer". W tym czasie także zapoznałem się bliżej z artystą rzeźbiarzem Ksawerym Dunikowskim i spotkałem dawnego mojego znajomego, sędziego dra Marjana Andrysiaka, adwokata Stanisława Chmiela z Tarnowa, oraz adwokata dra Henryka Blocha z Brzeska

Jak już zaznaczyłem obóz był dopiero w zarodku i w rozbudowie. Realizowano dopiero powoli plan rozbudowy tego obozu, zrazu jako obozu koncentracyjnego, a potem obozu zniszczenia. Właściwego komendanta nie widziałem przez cały czas, a zobaczyliśmy go dopiero przy moim zwolnieniu. Władzę swoją wykonywał Blockführer na poszczególnych oddziałach. Ci rekrutowali się z więźniów a nad nimi sprawowali nadzór SS-manni w rozmaitych rangach. Bloki posiadały po kilka izb. W każdej izbie władzę sprawował "Stubenältester", wybrany względnie przeznaczony przez współwięźniów, którzy byli odpowiedzialni za porządek i rygor w swej izbie wobec "Blockführera" względnie SS-manna. Rano i wieczorem odbywały się apele na tak zwanym placu apelowym. W czasie, kiedy przebywaliśmy na bloku 10-ym, jako tak zwani inwalidzi, na apele nie chodziliśmy, tylko byliśmy przeliczani przez Leona Wieczorka, który cyfrę podawał SS-mannowi, a ten zanosił ją do odbierającego raport, zastępcy komendanta obozu, powszechnie naz-

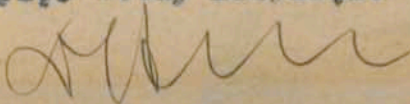
wanego "lalusiem". Jak długo nie zgadzała się liczba, tak długo musieliśmy stać na placu apelowym, względnie przed placem obok bloku 10-go i to bez względu na pogodę, nieraz godzinę, dwie i dłużej. Przy tych apelach ogłaszano i wykonywano karę chłosty i wtedy zgłaszano chorych, którzy następnego dnia mieli być przedstawieni lekarzowi. Po apelu następowało wydanie kolacji, a potem o godz. 21/2 wieczorem musieliśmy się kłaść na spoczynek w poszczególnych izbach na podłodze posłanej tylko słomą. Wszyscy byliśmy tak sgniecenii, że nie można było się swobodnie obrócić, ani ruszyć. Okna musiały być zamknięte i nie wolno było do nich się zbliżyć, bo SS-mannik wartownik od razu strzelał z wieży wartowniczej. O wypoczynku nie było mowy, bo byliśmy bardzo stłoczeni, a wychodzący, celem zaspokojenia potrzeby naturalnej, potykali się na śpiączkowych tak, że nie było nikogo, który by spokojnie przeleżał do godziny 31/2, kiedy trzeba było zrywać się do mycia i do dalszej pracy. -----

Mimo wszystko nie traciliśmy wiary, że zostaniemy zwolnieni. Zwłaszcza ci pierwsi 100, którzyśmy rozpoczęli żywot obozu koncentracyjnego w Nowym Wiśniczu, jako "Schutzhäftlinge" wierzyliśmy w to, że nasze rodziny czynią zabiegi, aby nas zwolniono, że wierzyliśmy tym bardziej, że byliśmy niewinni i wiedząc, że Niemcy zwyciężając, coraz pewniej osadzają się na Polskiej ziemi, coraz bardziej czują się pewni, wierzyliśmy, że nasz areszt staje się zbyteczny. Myliliśmy się jednak, bo od nowo przybyłych do obozu więźniów, dowiedzieliśmy się, iż gestapo w Polsce zaczęło się roić od agentów rozmaicie płatnych, którzy dostarczali nowego ładu dla obozów. Proste, często anonimowe donosy, dawały podstawę do przyjęcia o wrogie nastawienie Polaka w stosunku do Niemców. My pierwsi stu, byliśmy typowymi zakładnikami, których areszt z każdym dniem, stawał się zbyteczny. W latach późniejszych, a więc w roku 1941, oraz w dalszych, więźniowie w obozach koncentracyjnych stanowili grupę drugą i trzecią, skazaną z góry na zagładę. Pwrót tych więź-



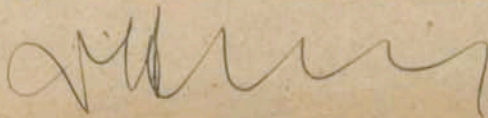
niów był niepożądany, a w każdym razie o zwolnieniu ich przed zakończeniem wojny nie było mowy. Dlatego w roku 1942 i dalszych kiedy przebywałem już na wolności nie słyszałem o zwolnieniu z tych obozów mimo że pisałem podania do rozmaitych władz w dziesiątkach, a nawet setkach wypadków. Nigdy nie mogłem zrozumieć, że kolega dr. Józef Putek nie zostaje zwolniony z obozu. Zgadzałem sobie to w ten sposób, że zapewne rodzina nie zasypuje podaniami kompetentnych czynników. Przypominałem sobie, jak dr. Putek w Nowym Wiśniczu myślał, że my jako zupełnie niewinni i nie przesłuchani, możemy wnieść podanie o zwolnienie bodaj do samego Hitlera. W pierwszych tygodniach, wierzyłem w pozory legalności władz niemieckich w stosunku do nas, przekonałem się atoli, że był w błędzie. Nikt z nas zresztą nie przypuszczałby nawet, że coś to co z nami zrobiono mogło być możliwe w XX-tym wieku. - - - - -

Jednym z pierwszych, który został zwolniony z obozu w Oświęcimiu, był już wyżej wspomniany Władysław Teuerle. Za nim wyszedł dyrektor "Ruchu", wigzień wiśnicki Stanisław Szeremeta. Następnym z kolei byłem ja. W dniu 10 sierpnia 1940 r. o godz. 2-giej po południu przyszedłem do mnie do obieralni, ziemniaków, w której od trzech dni pracowałem. SS-mann i wywołał mój numer "947". Zerwałem się, a on kazał mi iść za nim. Wyszedłem na plac zbiórki, na którym stały jeszcze oddziały przeznaczone do robót i oddział SS-owców. Polecono mi stanąć na boku. Po ukończeniu czynności rozdania pracy, podszedł do mnie, zajęty tym rozdziałem SS-owiec i powiedział mi ostro: "Du wirst erschossen, du Schuft" /ty będziesz zastrzelony, ty szubrawcze/. Nie poczuwając się do żadnej winy i nie będąc nawet dotychczas przesłuchany na jakkolwiek okoliczność powiedziałem spokojnie, że nie poczuwam się do żadnej winy, ani też mnie żadnej nie udowodniono. Na to odezwał się SS-owiec: "Du wirst bekommen 25 am Arsch, da wirst dich gleich erinnen/. Dostaniesz 25 na tylną część ciała, to sobie zaraz przypomnisz. Na to odrzekłem, że wątpię. Wtedy krzyknął: "du waret ein bekafter

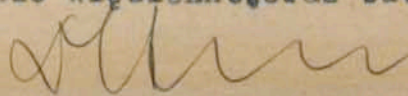


"aufwiegler in Krakau" /Ty byłeś znany wicherzyciel w Krakowie/. Pierwszy raz usłyszałem moje oskarżenie w tej formie i wśród tych warunków powiedziane. Nic dziwnego, iż ironiczny uśmiech znalazł się na moich ustach. Zauważył to ów SS-mann i znowu odezwał się do mnie: "Kommt Dir das k so lächerlich vor"/Czy to wydaje ci się tak śmieszne"/. Na to otrzymałem ode mnie odpowiedź, że przygotowany na wszystko, w ostatniej godzinie życia, wobec takiego postawienia sprawy nie wiem czy się śmiać, czy płakać. Byłem już istotnie przygotowany na śmierć, prosiłem tylko Boga, abym zniósł te ostatnie chwile godnie i modliłem się, aby te zbiry ss-owskie dobrze strzelały, gdyż żywot w tym obozie już wówczas był czymś gorszym od śmierci. Biegając myślą do swoich najbliższych i do mego ukochanego Krakowa, czekałem co się dalej ze mną stanie. W pewnym momencie SS-mann przystąpił znowu do mnie i rzekł zupełnie spokojnie: /co mnie ogromnie zdziwiło/ "Geh dich rasieren, so unrasiert kann ich dich nicht entlassen /idź się ogoli, gdyż nieogolonego nie mogę cię wypuścić". / Poszedłem wtedy do swojego bloku, -gdyż nie jeden z więźniów, zatrudnionych goleniem, szybko i sprawnie ogolił mnie, a następnie zgłosiłem się do tzw. "Lagerältestera", znanego wielkiego krzykacza i wielkiego poganiacza, starszego weterana hitlerowskiego. On zaprowadził mnie do magazynu po odbiór moich rzeczy. Ponieważ była to sobota i o godz. 3-ciej po południu magazyn był już zamknięty, przeto odłożono wydanie moich rzeczy, a tym samym moje zwolnienie do poniedziałku. Rychło rozeszła się wieść po obozie, że wracam do Krakowa, jako jeden z pierwszych z nowo-otwartego obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Mnóstwo towarzyszy boleści i cierpienia zgłaszało się do mnie ze skłamaniami i prośbami, do swoich rodzin w Krakowie. Starłem się dobrze zapamiętać, podane adresy i liczby, aby przecież zrobić im tę koleżeńską usługę, już w zmienionych warunkach. W nocy z soboty na niedzielę i w niedzielę na poniedziałek, nie mogłem ani zmrugać oka. Wstrząs, jaki przeszedłem w sobotę po południu zrobił swoje. Nerwy skakały, a przez głowę przebiegały mi myśli przeróżne i nie mogłem si

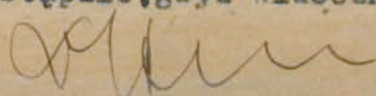
pogodzić z tym, że przecież będę zwolniony. Przeciwnie natarczywie wracały mi do głowy myśli, że będę istotnie zastrzelony i mało wydawało mi się prawdopodobne, abym ja sam opuścił obóz, pozostawiając w nim swoich kolegów, których winy, przynajmniej tych pierwszych 100, były takie same jak i moje. Zawsze twierdziłem, że albo wszyscy, albo żaden z nas żywy z obozu nie wyjdzie. Nie wierzyłem słowom SS-ów, że zostaną zwolnieni. Wierzyłem raczej, że to już mój koniec i to ostatnia szychana i udręka. W poniedziałek rano poszedłem jak zwykle do obieralni ziemniaków i rozpocząłem moją robotę. Minuty i kwadransy dłużyły się, przeszła jedna godzina, następnie druga, SS-mann mający mnie zwolnić nie przychodził. Nareszcie około godziny 8 i pół przyszedł SS-wiec, dotychczas bliżej mi nie znany, bo jak zaznaczyłem na bloku 3-A byłem załadowany kilkanaście dni. SS-mann wezwał mnie do pójścia po odbiór swoich rzeczy i złożonych kosztowności. Z moich rzeczy wydano prawie wszystkie, bo część widocznie gdzieś się zamieszkała z rzeczami innych kolegów, przy dwukrotnym przeprowadzkach, względnie przewózkach tych rzeczy. Zegarek ze złotym łańcuszkiem, wieczne pióro i inne drobiazgi odebrałem z depozytu wartościowego i podpisałem odnośne potwierdzenie koledze więziennemu, Robertowi Birnbaumowi, który w tej kancelarii pracował w charakterze pisarza. Nie upomniałem się już o resztę rzeczy, a w szczególności o kilka sztuk bielizny, bowiem jak najprędzej chciałem być poza bramami obozu. Po odebraniu rzeczy zaprowadzono mnie do badania lekarskiego. Lekarz obozowy, młody człowiek kazał mi się rozebrać i przystąpił do szczegółowego badania. Zaczęło się od stwierdzenia złamania żebra. Obawiając się twierdzić, że doznałem złamania żebra w obozie, wskutek kopnięcia ciężkim butem, przy okazji nakazanego tarzania się po ziemi, twierdziłem że zebro miałem już dawniej złamane. Twierdzenie, że to nastąpiło w obozie uważałem za ryzykowne, będąc w rękach tych niepoczytalnych osobników. Następnie stwierdził mi bardzo osłabioną akcję serca



i osłabienie mięśnia sercowego. Na to znowu podałem, że cierpię od czasów wojny światowej na nerwicę serca, więc widocznie to osłabienie pozostaje jeszcze w związku z trudami wojennymi z.r. 1914 - 1918. Następnie badał wątrobę. Ponieważ nie miałem w obozie ataków woreczka żółciowego przeto zauważyłem, że ataki zlagodniały, ba nawet całkiem ustąpiły widocznie wskutek "ściskłej diety", a zwłaszcza z braku tłuszczu. To już widocznie było trochę za dużo doktorowi, a być może, iż spostrzegł, że trochę sobie jego wiedzę lekceważę, gdyż krzyknął: hier ist doch kein Sanatorium"/tu nie jest przecież sanatorium/. Na to odrzekłem: tak nie jest sanatorium. Moznaby było szwartzki powiedzieć "aber ein Krematorium", ale tego nie miałbym odwagi w tych warunkach powiedzieć. W tym czasie dopiero pierwsze krematorium wewnątrz obozu było w trakcie budowania a zmarłych więźniów grzebano w zwykłych trumnach \* drewnianych, pomalowanych sadzami. Okres palenia zwłok w krematoriach i wysyłanie prochów do rodzin za drobną opłatą zaprowadzono dopiero później. W końcu uzgodniliśmy z lekarzem mój stan zdrowia i on zanotował do protokołu, że badanie wykazało, iż stan mego zdrowia nie jest gorszy od stanu przed moim aresztowaniem t.j. przed 9 listopada <sup>1939</sup> 1940 r. Ja temu się nie sprzeciwiałem, mimo że on mnie przed tym nie znał nigdy w życiu i w czasie pobytu w obozie straciłem 16 kg. na wadze. Również na osłabienie serca nigdy nie cierpiełem, ani nie prześladowała mnie plaga czeraków, które w tym czasie usadowiły się na całym moim ciele i nie miałem opuchniętych nóg do kolan. Potwierdziwszy za protokolem, że jestem zdrowszy, poszedłem do kancelarii po dokument podróży, wglądnię kartę zwolnienia z obozu t.zw. "Entlassungsschein". Z powodu długiego badania lekarskiego, trwającego do dwunastej w południe, spóźniłem się znowu, bowiem panowie SS chcieli punktualnie zasiąść do obiadu, który różnił się bardzo od obozowego. Musiałem wobec tego czekać przed bramą bozu do godziny 3-ciej po południu, ale już w moim ubraniu cywilnym, gdyż poprzednio w magazynie oddałem moje ubranie więzienne, oraz buty, które dopiero przed dwo-



ma dniami otrzymałem. Rzeczy te oddałem koleźce więziennemu Bolkowi Rozmarynowiczowi, który pracował w magazynie odzieżowym. Ubranie moje było w stanie bardzo zniszczonym, także wyglądałem jak żebrak, mając w worku resztę mojej bielizny i ubrania. Stojąc pod bramą obozu, nad którą widniał napis: "Arbeit macht das Leben süß" Zupełnie osłabiony i zupełnie nerwowo wyczerpany, po dwóch nieprzespanych ~~nieprzespanych~~ nocach i moralnych cierpieniach, próbowałem usiąść na moim żebraczym worku, atoli przechodzący SS-mann, widocznie sądząc że ja to nowy "Zuwachs", energicznie wezwał mnie do powstania, chociaż nawet przy robocie ostatnio, mogłem z uwagi na opuchłe nogi siedzieć. Miałem zezwolenie lekarskie potwierdzone przez SS-manna i to zezwolenie dziwnym zbiegiem okoliczności, kończyło <sup>się</sup> właśnie z dniem 12 sierpnia 1940 r. Nie wiem czy dalsze torury nie doprowadziłyby do leżenia. Wytłumaczyłem owemu SS-mannowi, że wychodzę na wolność, ale gdy przyszedł drugi SS-mann historia powtórzyła się na nowo. Wobec tego musiałem nadal stać na skłócu, męcząc się jeszcze w ostatniej chwili. Nareszcie o godz 3-ciej po południu nadszedł, z niecierpliwością przeze mnie oczekiwany, strażnik i zaprowadził mnie do kancelarii. Tam przedłożono mi do podpisu deklarację obejmującą następujące punkty: 1/ że nie będę zwalczał narodowego socjalizmu, 2/ że nie będę należał do żadnej tajnej organizacji, a wiadomych członków donosił organom policyjnym, 3/ że nie będę podnosił żadnych pretensji z tytułu odszkodowania za utraczone zdrowie i utrudnioną możliwość zarobku, oraz, <sup>na co</sup> /komendant ~~kom~~ specjalnie mi trzy razy zwracał uwagę, że 4/ zachowam zupełne milczenie odnośnie do stosunków panujących w obozie. Przy tym zagroził mi, że na wypadek, gdybym z tego powodu dostał się w ręce władz niemieckich, zostaną rozstrzeleny w przeciągu 24 godzin. Deklarację taką podpisałem. Następnie zapytano mnie, jakiego jestem zawodu i czy zwrócę kosztą biletu kolejowego, naturalnie uspokoiłem tego gorliwego urzędnika, dbającego o skarb kolejowy niemiecki, zapewniając go, że zaraz to uczynię, kiedy powrócę do Krakowa i zostaną o to wezwany. To jednak później nie nastąpiło, gdyż widocznie komenda obozu doszła do



przekonania, że koszta takiej jazdy winna sama ponosić, skoro nas bez naszej woli z Krakowa wywieziono. Mówiono także swego czasu w obozie, że ponosić będziemy koszta naszego utrzymania w obozie, ale zdaje się i ta koncepcja upadła, bo rachunku za pobyt w tym "znakomitym sanatorium" nie otrzymałem. Po odebraniu papierów, a w szczególności karty zwolnienia wyszliśmy z kancelarii z tym poleceniem, że nam zaraz po przyjeździe do Krakowa zgłosić się na ulicę Pomorską 2 celem rejestracji i poddania się dozorowi policyjnemu. Wyszedłszy za główną bramę, na której widniał napis "Arbeit macht frei" spojrzałem jeszcze raz za druty kolczaste, na w ciężko pracujących kolegów i towarzyszy niedoli. Byłem przejęty głęoko żalem, że ich opuszczam, że pozostawiam dawnych kolegów moich z Monte lupich i z więzienia w Nowym Wiśniczu. Zżyłem się bowiem z nimi serdecznie, tak, że trudno mi było pogodzić się z myślą, że jestem na drodze do wolności, niestety, tylko sam. W smutku przyjmowałem, że odchodzę w inne strony, może znacznie gorsze, a może istotnie na śmierć, którą w tych warunkach nie byłaby najgorszą, a w każdym razie lepszą od powolnego konania. Za bramą wsiadł SS-mann mój "anioł opiekuńczy", na rower i jechał obok mnie bardzo wolno, bo nie mogłem nadążyć, mając zbolełe i opuchnięte nogi i bardzo osłabione serce. Wiedziałem gdzie się znajduje dworzec oświęcimski, więc zwróciłem się do niego, że może niepotrzebnie się fatyguję, że sam pójdę na dworzec i zdążę do pociągu w kierunku Trzebini, względnie Krakowa. On jednak odrzekł, że musi mnie odprowadzić do samego dworca, bo zachodzi obawa zemsty z mej strony. Zgłupiałem, bo nie rozumiałem nad kim i nad czym miałbym się na razie mścić, będąc schofzają, samotny, bez żadnego rewolweru, bomby, czy dynamitu. Przyznałem mu jednak rację i twierdziłem, że istotnie mogłoby w tym czasie coś się stać w pobliżu obozu i z pewnością powiedziano by, że to jest sprawa "wielkiego zbrodniarza" "Schutzhäftlinga nr. 947". Na dworcu przy okienku kasowym, w czasie rozmowy SS-manna z urzędniczką, sprzedającą bilety padło ze strony SS-manna słowo "Katowitz". Przeraziłem się, bo byłem pewny, że cała historia z moim zwolnieniem, to istotnie tylko komedia i wywozę mnie do innego

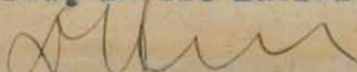


więzienia, w innym celu, a może istotnie już na śmierć. Zbliżywszy się do okienka, zorientowałem się, że na szczęście strażnik nie orientuje się dostatecznie w geografii i sądził, że do Krakowa dostać się mogą przez Katowice. Wmieszałem się szybko w rozmowę z panią sprzedającą bilety, że nie potrzebuję jechać ~~na~~ do Katowic i prosiłem o wydanie biletu wprost do Krakowa, co też uczyniła. Strażnik kupował tylko jeden bilet. Znowu rozjaśniło mi się w głowie, bo wnioskowałem, że skoro tylko kupuje jeden bilet, więc widocznie ten przeznaczony będzie dla mnie. Wnet atoli przyszło mi na myśl, że on może pojechać na bilet kredytowany, względnie że będzie korzystał z prawa wolnej jazdy, jako jadący w służbie. SS-mann wziął bilet i wyszliśmy na peron. Zegar kolejowy wskazywał godzinę 4:30 po południu. Było jeszcze pół godziny czasu do odjazdu pociągu. SS-mann pozwolił mi usiąść na ławce, sam zaś stał obok, paląc papierosa inie odzywając się do mnie zupełnie. Po chwili zwróciłem się znowu do niego, że teraz zbyteczne już może jego czekanie, że mogę sam spokojnie poczekać na nadejście pociągu, który miał nadejść od strony Dziedzic o godz. 5-ej. Nie dał się atoli do tego nakłonić, pozostał wierny swej służbie i otrzymanemu zleceniu. Nareszcie nadjechał z niecierpliwością oczekiwany przez mnie pociąg. Wówczas SS-mann zwrócił się do kaskownika pociągu z wezwaniem o osobny przedział. Konduktor przedział otworzył i wtedy nastąpiło moje największe napięcie: czy wsiądzie SS-mann, czy nie. Wrzuciłem do wnętrza pustego przedziału mój worek z rzeczami, wyspinałem się z trudem po wysokich stopniach wagonu, ciągle z boku spoglądając co zrobi mój "opiekun". Zobaczyłem, że został na peronie kolejowym, wyjął notatnik i zapisał numer wagonu, do którego wsiadłem, potem spojrzawszy na swój zegarek, zdaje się zapisał również godzinę, a następnie wręczył mi zakupiony bilet. W tym momencie kierownik pociągu dał sygnał do odjazdu, zatrząsnął drzwiami i pociąg ruszył. Stałem sam przy oknie wagonu, a mój stróż oddalał się wolnym krokiem od pociągu do swego roweru, opartego o ławkę na peronie. Zostałem więc odprowadzony na dworzec ze wszystkimi środkami ostrożności, ale to czyniono tylko w początkach istnienia obozu. Po kilkunastu dalszych zwolnieniach, zwolnień prawie nie było. - - - - -

Gdy wsiadłem do pociągu i spocząłem na ławce, pierwszy raz odczu-  
łem, że jestem wolny. Jakie uczucia mnie wtedy ogarnęły bardzo  
trudno opisać. Z jednej strony bezgraniczną radość, że wracam do  
swoich ukochanych braci, że znowu będę oglądał mój rodzinny Kraków,  
że wracam po długiej rozłące do wszystkich moich przyjaciół i znajo-  
mych a da Bóg, także do mojego umiłowanego zawodu. Z drugiej zaś  
strony żal i smutek, że zostałem oderwany od swoich serdecznych wi-  
nickich przyjaciół, zwłaszcza od tych, z którymi żyłem się w tych  
ciężkich ~~warmakach~~ chwilach nad wyraz serdecznie, a w szczególności z  
kolegą drem Bolesławem Rozmarynowiczem, Stanisławem Robakiem i Józ-  
kiem Przebindą. Biegłem do nich wszystkich bez wyjątku myślę, życząc  
im, aby wnet za mną szybko podążali. Za chwilę wszedł do przedziału  
konduktor, celem skontrolowania biletu jazdy i wdał się ze mną w rozm-  
owę. W szczególności pytał mnie, czy wszedłem może na wolność z  
obozu w Oświęcimiu. Nie znając go bliżej, pomny na słowa przestrogi,  
nie chciałem wiele na ten temat mówić, ograniczając się tylko do  
potwierdzenia zadanego pytania. Kiedy konduktor dowiedział się ode  
mnie, że nie mam pieniędzy, ofiarował z całą gotowością pożyczkę w  
kwocie 10 marek, za co mu jednak serdecznie podziękowałem. Uspokoi-  
łem go, że w Krakowie, gdzie mam dom rodzinny, dam sobie już radę  
bez grosza. Polski kolejarz wczuł się w położenie więźnia i z miejsca  
chciał przyjąć z ofiarną pomocą, dał więc dowód serca i patriotyczne-  
go nastawienia. Kiedy pociąg znowu zbliżał się do Krakowa i znowu  
na widnokręgu ukazał się kopiec bohatera ludu, obrońcy wolności,  
nie mogłem się opanować i łzy ciekły mi z ocz. Bóg pozwolił mi do-  
żyć tej wielkiej chwili, nigdy nie zapomnianej w mem życiu. Kiedy  
pociąg wjechał na peron dworca kolejowego w Krakowie i wsiadłem z  
~~niego~~, skierowałem swoje kroki ku dorożce. Przed ruszeniem poprosiłem  
dorożkarza o podniesienie "budy", aby nikt nie widział w jakim jestem  
stanie. Dorożkarz miał widocznie bardzo poważne wątpliwości, czy jes-

tem w możności zapłacić za jazdę nie wedle cen ustalonych, gdyż odezwał się: "Panie, ale ja na takse nie pojedę". Uspokoilem go, dając mu niedwuznacznie do zrozumienia, że nie znam taksy w tym czasie, tj. w dniu 12 sierpnia 1940 r. obowiązującej. Mniej więcej koło godziny 7.30 wiecz. zajechałem pod bramę mego domu przy ul. Celnej 1 i zadzwoniłem na moich starych dozorców Tomasza i Barbarę Alamów. Alamowie ujrawszy mnie, zaczęli mnie, a ja ich całować i serdecznie witać. Ja poleciłem im, aby przynieśli od brata mego 10 zł. na dorożkę. Skoro dorożkarz dowiedział się skąd wracam i usłyszał słowo "Oświęcim" rzekł: "Szkoda, że mi pan tego nie powiedział o razu na dworcu, byłbym pana doktora z chęcią za darmo odwiózł" i chciał mi koniecznie 10 zł. zwrócić. Podziękowawszy za ten piękny i szlachetny odruch biednego dorożkarza, byłem mile dotknięty jego sercem i odczuciem mojej udręki oświęcimskiej. Mały to był odruch, ale był on dowodem, że dorożkarz krakowski czuje się po polsku i okazuje odruchy swego dobrego serca. Kiedy z trudem wszedłem na pierwsze piętro i wszedłem do <sup>zapanowała tu</sup> mieszkania, radość ogromna, pytania i odpowiedzi oraz hałaśliwe przywitanie ze strony mojego wiernego psa "Foka". Pies ten z tęsknoty za mną schudł i zbiedniał, nie mogąc się doczekać oswobodzenia swego pana. -----

Tak przeszedł czas w mym życiu od 9 listopada 1939 r. do 12 sierpnia 1940, a więc 279 dni. Wystarczyło to zupełnie, aby mnie zniszczyć fizycznie, ale nie zkamać, gdyż będąc znowu w Krakowie z każdym dniem dzięki opiece lekarskiej, przychodziłem do siebie, tak że w krótkim czasie mogłem znowu zacząć pracować zawodowo, a zwłaszcza społecznie pełnić obowiązki delegata Polskiego Komitetu Opiekuńczego w naszej dzielnicy. Dla uzupełnienia zaznaczam, że w dniu 13 sierpnia 1940 stosownie do polecenia komendanta obozu zgłosiłem się na ulicy Pomorskiej 2, i tu meldowałem się 3 razy tygodniowo przez pewien okres czasu. Później zostałem od tego obowiązku zwolniony z tym, że o każdorazowym opuszczeniu Krakowa mam gestapo zawiadamiać. Ile razy wyjeżdżam na prowincję na rozprawę zawsze musiałem zawiadamiać o tym gestapo.

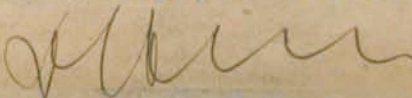


W ostatnich czasach nie byłem w tym kierunku dość ściśle. Może po upływie 6 tygodni od chwili wyjścia z obozu otrzymałem wezwanie na ul. Pomorską 2. Bardzo się przestraszyłem, gdyż sądziłem, że prawdopodobnie za dużo i za wiele osobom, opowiadałem o przeżyciach w Oświęcimiu i że może w związku z tym będę narażony na wielkie przykrości. Przygotowałem się do tego przesłuchania w odpowiedni sposób, tzn. pozostawiałem kosztowności, zegarek i pióro wieczne w domu, zabrałem tylko zmianę bielizny i rącznik do mojej teczki i pożegnawszy się z braćmi, poszedłem. Na całe szczęście przedmiotem badania nie były okoliczności, które ja przypuszczałem, lecz badano mnie w kierunku działalności Sokółka, procesów politycznych, w których występowałem jako obrońca i organizacji politycznych. Przesłuchanie odbywało się od godz. 8-ej do 3-ej po południu, w atmosferze spokojnej, w uwzględnieniu zapewne tej okoliczności, że odcierpiałem karę przed ustaleniem mojej winy. - - - - - Zwolnienie moje nastąpiło na skutek trzykrotnych podań ze strony mojego brata, w których podnosił moją niewinność i oszabiony stan zdrowia, wywołany wypadkami wojny światowej. Również wstawiał się za mną, wnosząc odpowiednie podanie inż. Władysław Kucharski, mój zastępca w Straży Obywatelskiej, w dzielnicy Podgórze. W rezultacie tych podań został też mój brat zawiadomiony 1 sierpnia 1940, że zostanę z obozu zwolniony, tak, że od tego czasu bracia oczekiwali przybycia mego w każdym dniu. Niestety wszystkie formalności, zachowane przy moim zwolnieniu, powrót mój odwlekały, aż do dnia 12 sierpnia.-----

Za mną wrócił do Krakowa w lutym 1941 r. dr. Bolesław Rozmarynowicz w kwietniu 1941 r. - Stanisław Robak, potem prof. Jan Leśniak, adwokat dr. Tadeusz Turek, prof. Jan Bałabuszyński, prof. Antoni Nykliński, b. poseł Paweł Toczek i jeszcze kilku z tych, którzy przebywali razem ze mną w obozie pracy w Nowym Wiśniczu. Niestety, z naszej pierwszej setki wiśnickiej nie wróciło dużo. Przede wszystkim nie wrócił Józek Przebinda, który musiał w dniu 2 maja 1941 położyć swe młode życie w ofierze dla tak ukochanej przez niego ojczyzny. Biedni jego rodzice stracili w nim

Jedynego syna, dzielnego oficera W.P. młodzieńca rokującego jak najpiękniejsze nadzieje. Pomarli z wycieńczenia, względnie zostali zamordowani: adwokat dr. Ignacy Bazler, adwokat dr. Markus Spiegiel, śpiewak operowy Eugeniusz Szancer, księża prof. dr. Marian Morawski, Kazimierz Dębowski, Józef Cyrek, redaktor Stanisław Mróz, red. Artur Popiel, Adam Różycki, prof. Antoni Rejnia, Oskar Raup leśniczy z sanockiego Leopold Hirsch Samuel Kolber, Zygmunt Falt i wielu, wielu innych. W miejsce ich przyszli nowi, a i ci także pomarli. Przez to piekło przechodzić musiał mój dawny patron b. dziekan Izby Adwokackiej Krakowskiej, dr. Edmund Fischer, który przeszedł więzienie w Zakopanem i w Tarnowie i zginął śmiercią męczeńską w Oświęcimiu, w dniu 21 kwietnia 1941 r., po zaledwie jedenastodniowym pobycie. Zamęczony został w tym obozie ceniony przez wszystkich, którzy go znali, prokurator Sądu Okręgowego w Krakowie - Adam Stawarski, a w końcu także adwokat dr. Józef Woźniakowski, który zginął śmiercią męczeńską w październiku 1943 r., o czym dowiedziałem się już na wolności. Moim zdaniem nikt nie zdoła wyliczyć tych wszystkich, których przeznaczeniem było umrzeć w tej nieznannej w dziejach ludzkości mordowni. Prochy ich wprawdzie rozleciały się na wszystkie strony świata, ale pamięć o nich nie zaginie nigdy i z prochów tych kości przyjdzie wielki Mściciel i nie zostawi przy życiu żadnego z tych katów za to, że tysiące Polaków musiało zamykać oczy na zawsze w strasznym bólu i upokorzeniu, nie widząc przy swoim skonanym swoich najbliższych i nie mogąc w ostatniej chwili swego życia pojednać się z Bogiem. Przychodziły i ginęły całe zastępy. Przychodziło tysiące osób z Krakowa, a niewinny obóz pracy w Nowym Wiśniczu zamieniał się szybko w olbrzymi obóz koncentracyjny. Ale to było wszystko za mało tym nowożytnym Hannom i przekształcili wielki obóz oświęcimski w wielki obóz zniszczenia. Ustały badania przy wypuszczeniu na wolność i ustały zwolnienia. Zwolnienie następowało, jak wyrażali się więźniowie "tylko przez komin". Zaniechano telegramów o śmierci więźniów i przestano przysyłać prochy rodzinom. Obóz oświęcimski prze-

rodził się w wielki obóz zniszczenia, nie tylko narodu polskiego i żydowskiego, lecz wszystkich narodów europejskich. Szlak zniszczenia osiągnął swój zenit w komorach gazowych i mordowaniu niemowląt. Karząca jednak ręka Boża położyła kres temu niespotykanemu w dziejach ludzkości barbarzyństwu i zżyczeniu. -----  
Uchował się przez cały czas mój kolega Józef Putek, który przesiedział w więzieniu na Montelupich, a następnie w obozie pracy w Nowym Wiśniczu, wreszcie w Oświęcimiu, a w końcu w obozie koncentracyjnym w Mauthausen, od września 1939 r. aż do oswobodzenia przez armię sojuszniczą. Miał dużo szczęścia, bo od szczęścia zależało w czyje się dostał ręce i jaki otrzymał przydział pracy, ale jeszcze więcej hartu ducha, oraz silnej woli. Powiedział sobie, że "muszę wytrzymać" i wytrzymał. Nie załamano go Brześć, nie załamały go obozy koncentracyjne, w których cierpiał mężnie i cierpliwie za Polskę i dla Polski. Jestem z podziwem dla kolegi, który jest teraz żywą historią tej martyrologii polskiej i będzie głównym oskarżycielem tych zbrodni niemieckich. Kolega dr. Józef Putek był silny i zdrowej konstrukcji, miał wszystkie dane fizyczne, aby wytrzymać te twarde próby. Za nim drugie miejsce nie wątpliwie zajmuje porucznik W.P. Mieczysław Urbański, który również od samego początku był z nami na Montelupich, w Nowym Wiśniczu i w Oświęcimiu. Trzecie miejsce niewątpliwie zajmie sędzia Marian Andrysiak, który, jak dowiedziałem się szczęśliwie wyszedł z tej ciężkiej opresji. On był słabszej konstrukcji, ale silny duchem. Wytrzymał aż do końca i weźmie udział w sądzie nad narodem, który tak nisko upadł, wskutek swej pychy i zarozumiałości. ----  
Żyje nasz kolega dr. adwokat Roland Goryczko, który przeszedł 3 lata znośną katusze w Oświęcimiu, a zniósł je z głęboką wiarą w ostateczne zwycięstwo Polski. Nie zniszczyli także Niemcy i nie potrafili zniszczyć prof. dra Jana Olbrychta, dyrektora Zakładu Medycyny Sądowej w Krakowie, który również 3 lata przeżył w obozie w Oświęcimiu. Jego spostrzeżenia, oparte na wielkiej fachowej wiedzy, będą bardzo cenne przy ustaleniu wszystkich



zbrodni Niemców i ocenie zbrodniczych instynktów. Z punktu widzenia naukowego będzie umiał prof.dr. Olbrycht najwłaściwiej ocenić zarówno całą organizację obozu, jak i poszczególnych wykonawców i dostarczy niewątpliwie bardzo bogatego materiału do opisu tego obozu zniszczenia. Wspomniałem tylko o najbliższych, bo trudno wszystkich wymieniać, a często nie da się ponad wszelką wątpliwość stwierdzić co się z nimi stało, względnie dzieje. -----

Powyższe szczegóły podaje na podstawie moich własnoręcznych zapisków, znajdujących się w moim ręku oraz dokumentów, które udało się mimo ciągłych rewizji i kontroli przewieźć z obozu do domu. A stało się to tylko dzięki temu, że jeszcze w obozie pracy w Nowym Wiśniczu kolega, pracujący w stolarni zrobił mi dwie deseczki, w rozmiarach mojej męskiej walizeczki, deseczki te spoczywają na dziś walizki nie były widoczne. Między temi deseczkami miałem przechowane dokumenty, a w szczególności spisy więźniów na Montelupich, oraz w Nowym Wiśniczu i inne. Ponadto otrzymałem od kolegi dra Wacława Brodkiewicza książeczkę, w której on miał spis więźniów w Nowym Wiśniczu wedle alfabety z oznaczeniem poszczególnych cel na których przebywali. W tej książeczce kolega Brodkiewicz notował także rozdział czynności w poszczególnych dniach i wykazywał rodzaj zajęcia poszczególnych więźniów. Było to coś w rodzaju książeczki reportowej dla jego użytku, przy raportach, składanych przez niego Michałowi Sojce. Z tego zapisku dowiaduje się dokładnie, że od 9 stycznia 1940 r. zaczęły mnie prześladować czgraki, które mnie dręczyły jeszcze długo po wyjściu z obozu w Oświęcimiu i czyniły mnie w wielkiej mierze niezdolnym do pracy oraz sprawiały mi dotkliwe bóle. Dzięki temu schowkowi w deseczkach udało mi się przemycić nad wyraz cenne pamiątki, jakie posiadam w formie rysunków względnie portrecików od kolegów prof.St.Żurawskiego, prof.Henryka Polichta, cenne pamiątki po ks.Ferdynandzie Machayu, w formie obrazków i medalika, oraz krzyżyk z miedzianej blachy z napisem "Montelupich. Wiśnicz 1939.1940"

*Handwritten signature*

z inicjatywami O.S., ofiarowany mi przez tylokrotnie wspomnianego Józefa Przebindę, a pobłogosławionego przez ks. prałata Józefa Rychlickiego. W tym miejscu świadek przedkłada posiadane przez siebie dokumenty i deseczki. Dokumenty te umieszczono w osobnej, dołączonoj do niniejszego protokołu kopercie.-----

Świadek w dalszym ciągu zeznaje: jeżeli by ktoś zapytał *mnie* jak tłumaczę sobie podżoże takiego zwier wieku i jak tłumaczę sobie możli-wość istnienia takiego centracyjnego w Oświęcimiu, - to odpowiem zdaniem wolnomyslnego wielkiego filozofa francuskiego Voltaira: "Społeczeństwo bez religii byłoby stadem dzikich zwierząt". Niemcy hitlerowskie, kierowane przez ludzi zdegenerowanych i zbrodniców, przystąpiły do konsekwentnego i systematycznego wydarcia z duszy swego narodu religii, a czyniły to zwłaszcza w stosunku do młodzieży. Oddaliły człowieka coraz dalej od Boga, aż w końcu coraz większe kręgi ludzi zamieniały w zwierzęta i do tego dzikie. Niemcy Hitlera prześcignęły w żądzy krwi i rabunku swych przodków starych Germanów za czasów Tacyta. Bledną wobec nich okrutni Krzyżacy, którzy nie wahali się już nawet pod znakiem krzyża siać zagładę i zniszczenie ziem polskich. Niemcy hitlerowskie prześcignęły najdziksze hordy Hunnów w swych okropnościach i okrucieństwach. Te Niemcy dążyły już do zniszczenia całego świata, pędzone do tego pychą i dumą narodu "panów" i wodzów "nadludzi", uważając wszelkie zbrodnie za dobre i prowadzące do celu, którym było zniaczenie i polarcie każdego słabego narodu. Bismarkowska zasada " siła przed prawem" stosowana była w zupełnej bezwzględności. Bezmyślny szak ogarnął ten naród i obracał w niwecz najcenniejsze zdobycze rozwoju ludzkości. Niemcy deptali wszystkie prawa, zagłuszali wszystkie zbawcze prawdy i gasili światła przewodnie, wiedzące dotąd ludzkość. Niemcy deptali religię, która stała na straży delakogu i przykazania miłości bliźniego. To jest największa ich wina. Zapomnieli o Bogu i religii, wiara i religia nie miały dla nich żadnego znaczenia, poszli nawet dalej, bo do umiżo-



wania zła i gloryfikowania występku, a w rezultacie do ofensywy na całej linii przeciwko dobru. Podnieśli hasło: nie ma chrześcijańskiego Boga, nie ma bojaźni Boga, jest tylko Bóg siły, Bóg neopogan. Zapomnieli przy tym, że kto zaprzeczy istnieniu Boga, ten musi podkopać w człowieku odpowiedzialność za intencję swoich czynów, za swe zamiary i ostatecznie za same czyny. Człowiek nieskrępowany zewnętrznie skończy na samowoli i barbarzyńskiej walce wszystkich przeciwko wszystkim. Ta głoszona przez Niemców nienawiść do Chrystusa, sprowadziła do kultu, a nawet apoteozy zła. Niemcy poszli na oślep bez zrozumienia, za Nitschem. - - - - -

Zostali jednak zżamani. Spotka ich za te zbrodnie ciężka, ale sprawiedliwa kara. Na czele tego całego narodu wyciśnięte zostanie piętno ludożerców XX wieku i nie zostanie zmasowane tak długo, jak długo naród niemiecki w pokorze i skrzesie nie przebłąga ciężko obrażonego Boga, oraz wszystkie udręczone narody. Nie upokorzy się i nie zmaże swej winy przez ciężką pracę w klatce, przeznaczony dla dzikich zwierząt, w której będzie mógł pomału przyjąć znowu do równowagi duchowej i odzyskać swolna człowieczeństwo. Będzie to przestroga dla tego narodu po wszystkie czasy, że nie można robić ze społeczeństwa stada dzikich zwierząt, choćby dla osiągnięcia największych ziemskich celów opierając się przy tym tylko na gwałcie i sile, deptając wszystkie prawa ludzkie i boskie. Sprawdzają się słowa Plutarcha: "łatwiej zbudować miasto w powietrzu, niż państwo bez religii". - - -

Prawda, że walka zła i dobra trwa przez wieki, ale może teraz zrozumieją Niemcy, że główną i jedyną prawdą życia społecznego wszystkich narodów jest Chrystus. Chrystus zwyciężył świat zła i nauczył pokonywać zło. Krzyż stoi, chociaż zżamał go Hitler i uczynił z niego swastykę. Burza wojenna przestała huczeć, ale my musimy się dać prowadzić za rękę Chrystusowi i mówić sobie i myśleć: Chrystus drogę zna! On rządzi, On nie zawiedzie. - - - - -

*Włodyka*

185  
Tak myślałem w czasie pobytu w więzieniu na ul. Montelupich w Krakowie, tak myślałem w obozie pracy w Nowym Wiśniczu i tak myślałem w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu i tak będę myślał do końca mego życia i twierdzę, że tylko dzięki tej wierze udało się wszystkie cierpienia obozowe przetrzymać i odzyskać wolność. -----

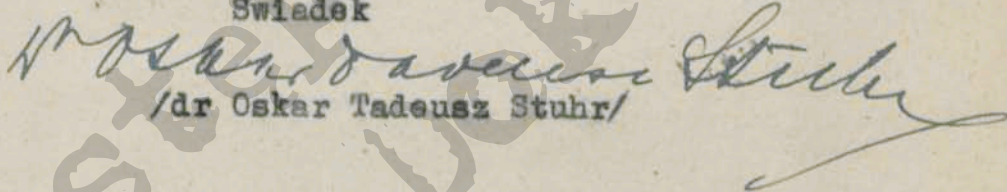
W tym miejscu przypominają mi się jeszcze dwa fragmenty z Wiśnicza, jak strażnicy więzienni usiłowali straszyć nawet już uwolnionych więźniów. W pierwszym wypadku po uwolnieniu kleryka Zóltowskiego Andrzeja, kiedy ten schodził już z góry w kierunku Bochni, strażnik wystrzelił w powietrze, by go nastraszyć. Na odgłos strzału Zóltowski zaczął uciekać. W innym znów wypadku, gdy Przebinda zbliżył się do okna, strażnik strzelił w okno, tak że kula utkwiła w pułapie. Wszystkie te metody zmierzały do zabicia w nas indywidualności i spowodowania u każdego z więźniów stanu ciągłego napięcia nerwowego. Jestem przekonany, że o tym co ja zeznałem opowiedzą również inni więźniowie, których przeżycia pokryją się z moimi. -----

W tym miejscu świadek przedkłada pismo wystawione mu w Krakowie przez przeprowadzającego rewizję w jego mieszkaniu gestapowca, tytułowane: Dr Oskar Stuhr, a datowane datą 9.XI.1939, wzywającego go do jawienia się na ul. Pomorskiej 2 w dniu 14.XI.1939r. Mimo tego wezwania ten sam gestapowiec aresztował go 10-ego listopada 1939. Dalej świadek przedkłada dwie deseczki, stanowiące dno jego walizki, między którymi ukryte były inne dokumenty, które również przedkłada, a mianowicie: spis więźniów, którzy razem z nim przebywali w więzieniu na Montelupich w celi nr 45 /dawna kaplica więzienna/ od 9.XI.39 do 23.XII.39. Spis ten zawiera 47 nazwisk, spisany jest ołówkiem, a oznaczam go wielką literą "A", Spis pierwszych stu więźniów, którzy z więzienia Montelupich wysłani zostali 23.XII.39 do obozu pracy w Wiśniczu /spis napisany stramentem, nazwiska ponumerowane liczbą bieżącą od 1-100/ Spis oznaczam wielką literą "B". Dalej rozporządzenie ostatniej woli w zamkniętej kopercie, przesłane drogą tajną do swego brata, które oznaczam wielką literą "C", oraz zezwolenie na pracę siedzącą w obozie

*[Signature]*

nr 947/10/Au/V. Podpisane przez lekarza i potwierdzone przez SS-manna Rotta. Mimo tego zezwolenia świadek niejednokrotnie był bity za pracę siedzącą. Zezwolenie to oznaczam wielką literą "D". W końcu świadek przedkłada list z 5.VIII.1940, pisany do niego do obozu przez jego brata Rudolfa, na dowód, jak pracowała cenzura niemiecka w obozie. List ten jest powycinany, a oznaczam go literą "E". Wszystkie te dowody postanowiono uczynić integralną częścią niniejszego protokołu, który poza tym zawiera 83 strony pisma maszynowego, ponumerowanych kolejno cyframi wzrastającymi od 1 - 83. -----  
Protokół ten jest oryginałem. -----  
Na tym protokół zakończono i po odczytaniu w dniu 13-ego sierpnia 1945 r. podpisano. -----

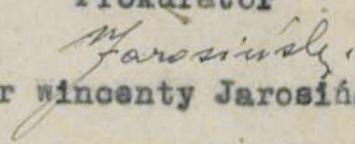
Świadek

  
/dr Oskar Tadeusz Stuhr/

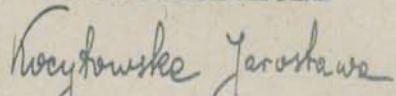
Aplikant sądowy

Mgr Julian Chachłowski

Prokurator

  
/Dr Wincenty Jarosiński/

Protokolantka

  
/Jarosława Kocyłowska/